



JUNE CASEY

**MIŁOŚĆ WYSOKOGÓRSKA**



Tłumaczenie Andrzej Dryszel

## ROZDZIAŁ 1

Andrea Winslow siedziała na werandzie przy wiklinowym stoliku, na którym stał wysmukły kieliszek z szampanem. Ze starego wiktoriańskiego hotelu przy Prospect Hill rozciągał się piękny widok na Nevada City. Andrea patrzyła na czerwone chmury płynące w kierunku Sierra Mountains. Zapowiadały one rychły zmierzch.

Cóż za wspaniałe tło do ślubu, pomyślała Andrea. Przypomniała sobie powód, dla którego odbyła z San Francisco trzygodzinną podróż do serca Kalifornii - rejonu poszukiwaczy złota. Początkowo zła była na Justina, który nagle stwierdził, że nie może wziąć udziału w uroczystości. W końcu pan młody był jednym z jego najlepszych menedżerów. Justin zajmował zaszczytne stanowisko wiceprezesa w rodzinnym przedsiębiorstwie Everett Oil Drilling Industries. Andrea zaprzyjaźniła się z nim od chwili, w której zatrudnił ją jaką redaktorkę w „Wildcat”, magazynie handlowym firmy.

Spoglądając na opustoszały dziedziniec Red Castle Inn, Andrea zapomniała o złości na Justina. Młoda para dawno już pojechała ze swymi gośćmi do Deer Creek Saloon, gdzie miało się odbyć przyjęcie weselne połączone z tańcami. Andrea wołała jednak zostać w hotelu, słuchać szmeru fontanny na dziedzińcu i rozkoszować się ciepłym majowym wietrzykiem od gór.

Powędrowała wzrokiem w stronę porośniętych piniami wzgórz, które o tej porze dnia wydawały się niemal czarne. Między drzewami można było dostrzec światła zapalające się w stuletnich domach w mieście. Miasto kopalni złota miało romantyczny urok, który przypominał atmosferę powieści jej babki. Gilberta Winslow była popularną na przełomie wieków pisarką, opisującą historię tego stanu od czasów, gdy Kalifornia należała jeszcze do Hiszpanii aż do trzęsienia ziemi w 1906 roku.

Andrea pochłonęła książki babci jednym tchem, kiedy tylko nauczyła się czytać, i jeszcze jako mała dziewczynka obiecała sobie, że pójdzie w jej ślady. Zrobiła karierę jako znakomita dziennikarka, ale w skrytości ducha stale marzyła o napisaniu książki. Nie miała jednak czasu na realizację swojego marzenia, gdyż praca dziennikarska nie pozostawiała jej go zbyt wiele. Z biegiem lat zmieniła nastawienie do życia z romantycznego na bardziej praktyczne.

Andrea zmarszczyła czoło uświadomiwszy sobie, że nawet mężczyźni wybierali sobie kierując się raczej względami praktycznymi niż czymkolwiek innym. Najpierw był Don, a teraz Justin...

Gdy zaręczyła się z Donem Farrellem, był on świetnie zapowiadającym się doradcą do spraw podatkowych. Uznała, że ma wszelkie zadatki na dobrego męża. Był odpowiedzialny, sumienny i realnie podchodził do życia - stanowił absolutne przeciwieństwo ukochanego ojca Andrei. Don zginął w wypadku samochodowym na kilka tygodni przed planowanym ślubem. Po jego śmierci Andrea pogrążyła się w głębokiej żałobie, której towarzyszyło osobliwe poczucie wyzwolenia.

Wszystko to miało miejsce przed dwoma laty. Teraz, gdy siedziała na werandzie starego hotelu, opadły ją podobne wątpliwości.

Zeszłej zimy z radością przyjęła propozycję pracy w redakcji „Wildcat”. Justin Evert natychmiast zainteresował się nową redaktorką i po pewnym czasie zaprzyjaźnili się. Był podobnie jak Don, silnym, trzeźwo stąpającym po ziemi mężczyzną. Niedawno zaczął ją namawiać na małżeństwo.

Andrea wahała się. Ciągle miała w pamięci to dziwne uczucie wolności, jakiego doświadczyła po śmierci Dona. Po prostu nie była siebie pewna. Wiedziała, że najprostszym rozwiązaniem byłoby ulec namowom Justina, z drugiej zaś strony nie była w stanie zdobyć się na wiążącą obietnicę. Obawiała się, że małżeństwo będzie oznaczało koniec jej marzeń, a bezpieczne życie u boku Justina wydawało jej się zbyt mało atrakcyjne.

Siedząc na pustej werandzie hotelowej, czuła się szczęśliwa. Podczas podróży z San Francisco odzyskała równowagę duchową i znowu zaczęła marzyć.

Z uśmiechem przypominała sobie, że nawet Jim Hardesty i jego narzeczona Lucinda zauważyli zmianę, jaka się w niej dokonała.

- Nigdy jeszcze tak kwitnąco nie wyglądałaś - powiedział Jim, przyjmując od Andrei najserdeczniejsze życzenia na nową drogę życia. - Najwyraźniej służy ci górskie powietrze. Ustaw się tam, między innymi pannami, i postaraj się złapać wiązanek Lucindy. Coś mi mówi, że niedługo staniesz na ślubnym kobiercu!

Andrea wmieszała się w grupę niezamężnych kobiet. W sukni złocistego koloru, podkreślającej jej szczupłą talię i długie nogi, z upiętymi wysoko jasnymi włosami wyglądała prześlicznie. Wiedziała, że przyciąga pełne podziwu spojrzenia obecnych. Kiedy panna młoda rzuciła wiązanek, Andrea podskoczyła i już, już miała ją w rękach, gdy nagle podmuch wiatru skierował kwiaty w stronę stojącej za nią nastolatki.

- Do diabła, Andreo! Miałaś już ją w garści! - zawołała Lucinda z udawanym oburzeniem, wyjmując z kunsztownej fryzury białą orchideę. - Weź przynajmniej ten kwiat, żebym się nie musiała martwić, że zostaniesz

starą panną. Masz już przecież dwadzieścia osiem lat. Na co jeszcze czekasz? - pytała przyjaciółka, umocowując biały kwiat u pasa Andrei.

Kiedy nad hotelem zapadł zmierzch, a Andrea odczepiła od sukienki ciągle jeszcze pachnącą ozdobę, zadała sobie to samo pytanie. Na co właściwie czekała?

Smutne rozmyślania Andrei zostały przerwane przez warkot zbliżającego się samochodu. Krętą drogą zmierzał najwyraźniej wprost na dziedziniec hotelu. Za chwilę avanti zatrzymał się z piskiem opon na parkingu. Wysiadł z niego mężczyzna, który z wyraźnym pośpiechem pomaszerował w stronę hotelu. Gdy zatrzymał się przed wejściem, Andrea zauważyła, że trzyma w ręku elegancko zapakowany prezent.

- Jeśli przyjechał pan na ślub Jima i Lucindy, to niestety spóźnił się pan - zawołała Andrea ze śmiechem. - Ślub dawno się już odbył, a młodzi pojechali z gośćmi do miasta.

Mężczyzna odwrócił się na dźwięk jej głosu. Błądził wzrokiem dookoła, aż wreszcie udało mu się ją dostrzec w ciemnościach. Andrea zdążyła przez ten czas zauważyć, że był przystojny i dobrze zbudowany. W eleganckim garniturze prezentował się znakomicie.

- Cholerne pudło - rozluźnił krawat. - Jest niewierne jak kochanka, ale jakoś nie mogę się z nim rozstać.

Spod maski avanti wydobył się, jakby w odpowiedzi, obłok pary, który z sykiem uleciał w górę.

Andrea roześmiała się. - Wygląda na to, że przegapi pan również wesele. Ale przynajmniej zostało jeszcze troszkę szampana - wskazała stolik.

Nieznamomy usiadł naprzeciwko niej w wiklinowym fotelu i sięgnął po butelkę z musującym płynem. Napełnił kieliszek Andrei i jeden z pustych stojących obok butelki. - Wypijemy zdrowie Jima i Lucindy?

Stuknęli się kieliszkami. Pijąc szampana Andrea poczuła wzrok mężczyzny na sobie. Podniosła głowę. Coś między nimi zaiskrzyło.

Chciała wstać, ale jej słomiany kapelusz zsunął się przy gwałtownym ruchu ciała i spadł na podłogę. Schylili się po niego jednocześnie. Zetknięcie się ich dłoni było nieuniknione.

- Dziękuję - powiedziała cicho. Nie odważyła się spojrzeć na niego. Wstała tylko i rzuciła kapelusz na stół. Podeszła do poręczy okalającej werandę i oparła się o nią. Próbowała uspokoić oszalałe serce i zwariowany oddech.

Nie mogła sobie poradzić z okiełznaniem uczuć, które tak gwałtownie nią zawładnęły. Po prostu nie chciała przyjąć do wiadomości, że jakiś kompletnie jej nieznanymi mężczyzna mógł tak bardzo na nią podziałać. Ten

szarooki nieznajomy miał, zdaje się jakiś magiczny wpływ na nią. Cała ta sytuacja graniczyła wprost z obłędem!

- Dlaczego nie jest pani na weselu?

Pozwoliła sobie na wzruszenie ramionami, mimo że cała była rozedrgana. - Nie przepadam za takimi głośnymi imprezami - odparła w miarę normalnym głosem.

Nieznajomy skrzywił się. - Zaskoczyła mnie pani. Wydawało mi się, że chętnie pani tańczy. - Prześliznął się spojrzeniem po jej figurze.

- Sądząc z powierzchowności, można by panią zatrudnić w balecie. Andrea patrzyła na niego z rosnącą z sekundy na sekundę ciekawością.

- Rzeczywiście lubię taniec, ale daleko mi do profesjonalizmu w tej dziedzinie. Czy zawsze udaje się panu tak trafnie oceniać nieznajomych?

- Tylko tych, którzy mnie interesują. - Mężczyzna poderwał się z miejsca zwinnym kocim ruchem i stanął obok Andrei.

Znowu poczuła jego wzrok na swych jasnych włosach i opalonej twarzy. Machinalnie podniosła orchideę i zaczęła ją wąchać.

Mężczyzna delikatnie wyjął kwiat z jej palców i pogładził płatkami jej wargi. Andrea spojrzała w górę. Zobaczyła rozwichrzone czarne włosy okalające smagłą twarz. Zatrzymała wzrok na pełnych zmysłowych ustach i tylko siłą woli powstrzymała się od dotknięcia ich.

- Dostała pani ten kwiat od panny młodej?

- Tak. Jest to swego rodzaju nagroda pocieszenia, ponieważ nie udało mi się złapać wiązanki. Trafiła do młodszej dziewczyny.

- Co za szkoda! - roześmiał się nieznajomy. - Ale, jak wiem, dojrzałe kobiety nie narzekają na brak powodzenia.

- Przypuszczam, że ona rychło wyjdzie za męża, a ja nadal będę musiała szukać szczęścia.

- Widzę, że nie pomyliłem się co do pani - uśmiechnął się.

- To zależy, co pan ma na myśli.

- Hmm, tajemnicza nieznajoma, piękna kobieta z klasą. - Wsparł się łokciem o poręcz, tak że ich twarze znalazły się na tej samej wysokości.

- To mi się podoba.

Andrea odwróciła się i wróciła do stolika. - A pan?

- Co ja?

- Czy mogę zgadywać, kim pan jest? - rzuciła mu przez ramię badawcze spojrzenie. - Czy jest pan rzeźbiarzem... lub też może kamieniarzem? - uśmiechnęła się. Ta gra zaczęła ją wciągać.

- Widzę, że zwraca pani uwagę na szczegóły - odparł mężczyzna znacznie chłodniejszym tonem. Zdażyła więc zauważyć, że ma szorstkie

stwardniałe ręce. - Próbowałem poskromić nagą skałę - dodał nieco teatralnie.

Andrea wyczuła, że w tych słowach kryje się jakieś ukryte znaczenie. Nieznajomy intrygował ją coraz bardziej. Myślała gorączkowo, co powinna teraz powiedzieć, gdy nieoczekiwanie pojawiła się na werandzie pulchna właścicielka hotelu.

- Dobry Boże, nie miałam pojęcia, że zostało tu jeszcze dwoje weselnych gości! - zawołała z przejęciem. - Przygotować państwu kolację? W mieście nie dostaniecie już nic do jedzenia o tej porze.

Nieznajomy obdarzył Andreę promiennym uśmiechem. - Co pani na to?

Zawahała się przez moment, jakby wewnętrzny głos odradzał jej wspólną kolację z dopiero co poznanym mężczyzną. Szybko jednak odrzuciła wszelkie wątpliwości i uśmiechając się beztrudnie, rzekła:

- Och, tak. Umieram z głodu.

W jadalni, przy długim mahoniowym stole, pół tuzina gości hotelowych jadło właśnie wieczorny posiłek. Andrea nie miała wyboru, musiała usiąść koło gospodyni, podczas gdy jej towarzysz zajął miejsce na drugim końcu stołu. Pani Evans była przemiłą serdeczną osobką, która potrafiła zadbać o swych gości. Rozmowa dotyczyła głównie historii Nevada City. Od czasu do czasu Andrea zerknęła w stronę nieznajomego. Za którymś razem spojrzenia ich spotkały się. W oczach mężczyzny pojawiły się iskiereki rozbawienia.

Zaraz po kawie mężczyzna wstał od stołu i zapytał, czy mógłby skorzystać z telefonu. Andrea odczuła ulgę, zabarwioną troszeczkę rozczarowaniem. Być może wmówiła sobie tylko, że przeleciała między nimi jakaś iskra.

Inni goście również podnieśli się, podziękowali gospodyni i Andrea została tylko z panią Evans. - Czy mój pokój jest już gotowy? - spytała.

- Tak, moja droga. Muszę powiedzieć, że miała pani szczęście. Dopiero z początkiem przyszłego miesiąca zaczyna się tu prawdziwy najazd turystów. Dlatego też wybrałam dla pani najpiękniejszy pokój z balkonem na pierwszym piętrze.

Płacąc za pokój Andrea usłyszała, jak nieznajomy rozmawia ze służbą drogową. Westchnęła ciężko i z torbą podróżną w ręku poszła na górę.

W pokoju zapaliła lampkę nocną i rozejrzała się. Gdyby sytuacja była inna, zachwyciłaby się staroświecką tapetą w pączki róż i mosiężnym łóżkiem, ale teraz wystrój pokoju wcale jej nie obchodził. Zdjęła sukienkę i bieliznę i przebrała się w nocną jedwabną koszulę kawowego koloru. Przysiadła niezdecydowana na brzegu łóżka. Po chwili stwierdziła, że jest

zbyt podniecona, aby zasnąć. Postanowiła wyjść na balkon. Oparła się o poręcz i zaczęła pełną piersią wdychać ostre nocne powietrze.

- Cóż za niespodzianka! - usłyszała za sobą znajomy głos. - Nie przypuszczałem, że zastanę panią tutaj.

Odwróciła się powoli. - Ja też się pana nie spodziewałam. Sądziłam, że przebłągał pan swoje narowiste autko i że jest już pan od dawna na dole.

Andrea zauważyła, że mężczyzna zdjął marynarkę i krawat. Rozpiął też kilka górnych guzików swojej eleganckiej bładoniebieskiej koszuli. Zbliżał się teraz do niej, podciągając rękawy. Potem oparł się plecami o balustradę tuż obok niej. - Obawiam się, że będzie pani zmuszona jeszcze przez chwilę znosić moje towarzystwo. - Zaśmiał się wesoło. - Służba drogowa nie ma przed jutrzejszym rankiem żadnego wozu holującego. A dlaczego pani jest jeszcze tutaj? Też ma pani kłopoty z samochodem?

- Bynajmniej - odparła Andrea ze śmiechem. - Po prostu uległam tej... atmosferze. To wszystko.

- Zaskakuje mnie pani - powiedział mężczyzna lekko kpiącym tonem. - Myślałem, że ta cisza może być denerwująca dla człowieka przyzwyczajonego do wielkomiejskiego zgiełku. - Ujął jej dłoń i po-stukał palcem w każdy z pomalowanych brzoskwiniowym lakierem paznokci Andrei.

Nagły łopot skrzydeł gdzieś w pobliżu przestraszył ich oboje. Mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał w ślad za ptakiem.

- Nocny jastrząb - wyjaśnił, nie wypuszczając palców Andrei z ręki. - Wyprawiają się tutaj na polowania, dopóki śnieg w górach nie zacznie topnieć.

- Jest pan ekspertem od tutejszych zwierząt? - spytała.

- W pewnym stopniu tak. A pani?

Pokręciła głową ze śmiechem. - Obawiam się, że nie. Proszę mnie zapytać o najwyższy budynek w San Francisco albo o to, ile kasyn jest w Las Vegas.

Spojrzał na nią zaciekawiony. - Jest pani hazardzistką?

- Ja? Nie, raczej nie. Nigdy nie ryzykuję - mruknęła bardziej do siebie niż do niego.

Puścił jej dłoń i odwrócił się w stronę gór czerniejących na horyzoncie. Po chwili spojrzał na Andreę spod przymrużonych powiek. - Ciekawe, myślałem, że jest wręcz przeciwnie... że jest pani kobietą, która nie boi się ryzyka.

Andrea milczała. Ta noc obudziła w niej tęsknotę, nad którą nie potrafiła zapanować. - To zależy... - szepnęła wreszcie.

- Od czego?

- Od pana.

Mówiła tak cicho, że mężczyzna musiał się pochylić, żeby usłyszeć jej słowa. Wyjął spinki z jej włosów. Spłynęły na ramiona jasną falą. - Jest pani urocza - szepnął cichym, niemal hipnotycznym głosem.

To nie powinno się stać, jakiś wewnętrzny głos ostrzegał Andreeę.

Odwróciła się i pobiegła w stronę drzwi, jakby chciała uciec przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

- Zostań tu! - rozległ się głęboki męski głos.

Był już przy niej, silnymi dłońmi schwycił ją w tali. Z żarliwą namiętnością przycisnął wargi do jej ust. Wziął ją na ręce. Otworzył drzwi nogą i wniósł ją do pokoju.

Andrea leżała na łóżku, przyglądając się pełna oczekiwania mężczyźnie, który rozpinał koszulę. Podszedł do niej, a jego wargi obudziły w niej taki ogień, jakiego nigdy nie doświadczyła. Czowała przy sobie jego silne ciało, czuła jego ręce na sobie i wiedziała, że ta namiętność musi znaleźć ujście w cielesnej miłości. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Jęknął, czując dotyk jej dłoni.

Andrea wiedziała, że oto przytrafiło się jej to, o czym tyle razy czytała w powieściach. Zakochała się w mężczyźnie od pierwszego wejrzenia. Zmysły grały tak silnie, że nic się nie liczyło - ani nazwisko, ani status społeczny. Wszystko to było nieważne. Ważna była tylko bliskość tego mężczyzny i ten niesłychany pociąg erotyczny, który sprawił, że cała była pożądaniem.

Krzyknęła ochryple, gdy poczuła jego ręce na swych udach. Zaraz potem namiętnymi pocałunkami pokrył jej szyję, jej najwrażliwsze miejsce.

Zsunął koszulę z jej ramion i zaczął całować obnażone piersi. Delikatnie gryzł brodawki, aż wyprężyły się i zeszywniały. Dotknął tego miejsca między udami, gdzie kumulowała się wszelka rozkosz. Andrea jęknęła w zachwycie nad tą pieszczotą, ale głośnie pukanie do drzwi nakazało jej wrócić do rzeczywistości.

- Telefon do pani! - rozległ się zza drzwi głos pani Evans. - Dzwoni jakiś młody człowiek z San Francisco. Mam nadzieję, że pani nie obudziłam.

Zanim Andrea opamiętała się, jej towarzysz wyskoczył z łóżka i wybiegł na balkon. - Wygląda na to, że pani przyjaciel dysponuje szóstym zmysłem, który akurat w tej chwili nakazał mu skontaktować się z panią. - Jego głos brzmiał na poły kpiąco, na poły gniewnie.

Andrea wstała spiesznie z łóżka. - Poczekaj!



On jednak już sobie poszedł. Powiedziała pani Evans, że przyjdzie za chwilę, zarzuciła na siebie kurtkę i zbiegła na dół do recepcji. - Halo? - zawołała do słuchawki.

- Andreo, kochanie, jak się miewasz? Pewnie się wspaniale bawicie, gdy ja, sierota, haruję tu w pocie czoła - odpowiedział jej męski głos.

Oparła się o biurko, próbując odzyskać równowagę. - Ach, to ty, Justin! Wszystko w porządku. Straciłeś wspaniały ślub. Ja nie poszłam na wesele, jakoś nie miałam ochoty na ten cały rozgardiasz.

Roześmiał się zadowolony. - Cieszę się, że wypoczęłaś trochę, kochanie. Zaoszczędzisz energię na nasze wesele.

- Justin, proszę cię - odparła zmęczonym tonem. - Nie mam ochoty rozmawiać o naszej przyszłości przez telefon.

- Ale ja już tracę cierpliwość - rozgniewał się. - Jak myślisz, dlaczego wydelegowałem cię na ten ślub, mimo że sam nie mogłem w nim uczestniczyć? Miałem nadzieję, że udzieli ci się romantyczny nastrój tego wydarzenia.

Andrea roześmiała się w duchu z goryczą i niezamierzoną ironią. Wyobraziła sobie Justina, jak siedzi w swoim gabinecie z nogami opartymi o biurko z włoskiego orzecha i niecierpliwie bębni palcami po swoim już lekko zaokrąglonym brzuchu. - Przestań mnie dręczyć, Justin! - zawołała do słuchawki nadspodziewanie nieprzyjemnym głosem.

- Co się stało? Co się z tobą dzieje, Andreo? - zaniepokoił się natychmiast.

- Porozmawiamy po moim powrocie. Dobranoc - odłożyła słuchawkę i wróciła do pokoju.

Usiadła na pomiętej białej kołdrze i czekała na stukanie do drzwi, które jednak nie nastąpiło. Była wzburzona i zawiedziona. Ten nieznajomy wzbudził w niej taką namiętność, o jakiej tylko czytała w książkach lub oglądała na filmach. Czuła się tak, jakby jej życie zaczęło się cztery godziny temu, kiedy nieznajomy mężczyzna pojawił się na stopniach werandy. Ciekawa była, co powiedzą sobie następnego ranka.

Kiedy po kiepsko przespanej nocy zeszła na śniadanie, w jadalni nie było nikogo oprócz młodego kelnera Pedro.

- Czy ten pan od czerwonego avanti był już na śniadaniu? - spytała młodzieńca, kiedy nalewał jej kawy.

- O, tak, seniorita. Odholowano go przed godziną.

- Aha - powiedziała na pozór obojętnie. - A... czy... nie wie pan czasem, jak on się nazywa?

Pedro pokręcił głową. - Musiałaby pani zapytać seniore Evans, ale ona jest teraz w kościele.

- Nie, nie będę pytać - odparła Andrea szybko. - To nie takie ważne.

RS

## ROZDZIAŁ 2

Andrea podlała mały figowiec stojący na parapecie jej gabinetu. Główna siedziba Everett Industries zajmowała całe dwudzieste piętro wieżowca w dzielnicy finansowej San Francisco. Pracownicy firmy mieli stąd wspaniały widok na zatokę i miasto. Andrea zatrzymała wzrok na wzgórzu Russian Hill usianym ślicznymi wiktoriańskimi domkami, których szeregi ciągnęły się aż do Dzielnicy Chińskiej.

Widok ten przypomniawszy jej strome kręte uliczki w Nevada City i po raz setny powróciła myślami do niezwykłego spotkania z nieznanym. Odżyły w niej dawne marzenia i zdała sobie sprawę, że pragnie czegoś więcej od życia niż tylko ustabilizowanej monotonii. Do dzisiaj nie mogła pojąć, jak to się stało, że ten obcy mężczyzna tak na nią podziałał. Nie była na tyle głupia, żeby namiętność nazywać miłością, a mimo to nie mogła przestać myśleć o nim. Tęskniła za dotykiem jego dłoni, za jego cudownymi pocałunkami i zupełnie nie mogła sobie z tym poradzić.

- Hej, Andreo, widzę, że zmęczenie wiosenne daje ci się we znaki! Potrzebna mi jest twoja pomoc przy artykule wstępnym, a od pięciu minut na próżno staram się, abyś zareagowała na moją obecność. - Ten kpiący głos należał do Jerry'ego Hagooda, bardzo obiecującego studenta, którego Andrea zatrudniła w miesięczniku jako swego asystenta.

Drgnęła przestraszona. - Przepraszam - roześmiała się. - Dzień jest taki piękny, że z przykrością myślę o pracy.

Jerry roześmiał się również. - Takiego szefa zawsze chciałem mieć. Może weźmiemy deskę i pobiegniemy na plażę?

- O, nie! - oburzyła się Andrea. - Musimy jeszcze uporządkować zdjęcia i zastanowić się nad wielkością czcionki w tytule.

Zdażyła usiąść przy biurku, gdy zadzwonił telefon.

- Winslow - zgłosiła się.

- Andreo, przyjdź jak najszybciej do mojego gabinetu - rozległ się w słuchawce niecieplawy głos Justina Everetta. - Mam tu telegram, z którego treścią powinnaś się zapoznać. Chciałbym wiedzieć, co ty wykombinowała.

Stukając obcasami po korytarzu, Andrea zastanawiała się, o co może chodzić. Miała niejasne przeczucie, że zna sprawę, która tak wzburzyła Justina.

Przed dwoma miesiącami zwróciła uwagę na notatkę, którą miała zamieścić w magazynie. Blake Everett, prezes i starszy przyrodni brat Justina, poszukiwał kogoś wykwalifikowanego, kto napisałby pod jego

nazwiskiem książkę o wspinaczkach górskich. Andrea nie знаła Blake'a, ale ogłoszenie to uruchomiło jej wyobraźnię. Oto trafiała się jej szansa napisania książki, czyli to, o czym od zawsze marzyła. Druga taka okazja może się jej nie trafić.

Nie mówiąc o tym nikomu, wysłała Blake'owi Everettowi do Arabii Saudyjskiej, gdzie była filia Everett Industries, wybór swoich artykułów i kilka najlepszych nowel. Nie liczyła na sukces, ale postanowiła przynajmniej spróbować.

Z uśmiechem na twarzy wkroczyła do elegancko urządzonego gabinetu Justina. - Chciałeś mnie widzieć, Justin?

Siedział jak zwykle z nogami na biurku. Ruchem głowy wskazał jej fotel, zapraszając w ten niekonwencjonalny sposób do zajęcia miejsca. - Niespodzianki to twoja specjalność, co? - powiedział na poły kpiąco, na poły z dumą.

Potarła brodę wierzchem dłoni. - Przypuszczam, że chodzi o książkę, którą zamierza napisać twój brat?

Justin podał jej żółty papier. Gdy czytała kilka linijek tekstu, nie spuszczał jej z oka. - „Wygląda na to, że we własnym domu znalazłem najlepszego murzyna do napisania książki STOP Przywieź mi tu tego Winslowa STOP Zaczynam natychmiast STOP Blake”.

Andrea odłożyła telegram na biurko i spojrzała na Justina rozjaśnionymi oczami.

- Bardzo jesteś z siebie zadowolona, co? - spytał Justin, nie oczekując odpowiedzi. - Nie mogę wprost uwierzyć, że zrobiłaś coś takiego poza moimi plecami.

- To nie fair, Justin - zdenerwowała się. - Wiesz, jak bardzo nie lubię ludzi, którzy stale opowiadają o swoich dalekosiężnych planach i wszystko się u nich kończy właśnie na gadaniu. Ja wolę mówić o sukcesie, kiedy już mam go w kieszeni. Poza tym nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że to właśnie ja zostanę wybrana.

Justin wyszedł spoza biurka. - Co nazywasz sukcesem? To, że ofertę podpisałaś A. Terrence Winslow? To przecież jawne oszustwo!

- A to niby dlaczego? - oburzyła się Andrea. - W moich poczynaniach zawodowych zawsze używałam tego nazwiska. A wiesz dlaczego? Bo myślę perspektywicznie. Bo nie chcę, żeby w przyszłości zaliczono mnie do autorek tzw. literatury kobiecej. Chcę po prostu, aby moja płęć nie przeszkodziła mi w karierze pisarskiej. Jeśli sobie przypominam, nie miałaś nic przeciw tej formie nazwiska, kiedy mnie zatrudniałeś, czyż nie?

Zignorował całą tę płomienną przemowę. - Czy wiesz, jak Blake na to zareaguje?

- Nie mam pojęcia. Przecież go nie znam. Myślę, że potraktuje to jak niewinny żart i przejdzie do spraw służbowych.

Justin pochylił się nad nią. - Obawiam się, że nie starczy mu poczucia humoru. Jestem więcej niż pewien, że się wścieknie. Ma bardzo chłodny stosunek do kobiet, Andreo. Traktuje je nader instrumentalnie. - Podniósł palec do góry, żeby podkreślić znaczenie swych słów. - Przeżuje cię, wysię z ciebie wszystkie soki, a potem cię wypluje.

Andrea zerwała się gwałtownie z fotela i podeszła do okna, z którego rozciągał się cudowny widok na Golden Gate Bridge i wyspę-więzienie Alcatraz. Przez chwilę stała nieruchomo, a potem odwróciła się do swego pracodawcy. - Jestem dorosłą kobietą, do diabła! - krzyknęła niemal. - Żyję na tym podłym świecie tak długo jak ty, Justin, i odpowiadam za to, co robię. Nie musisz mnie niańczyć.

- Kochanie... - Justin zaczął mówić łagodniejszym głosem. - Mój brat bardzo się ode mnie różni. Nie nazwałbym go sympatycznym człowiekiem. Ja staram się o dobre samopoczucie swojej załogi i dlatego moje przedsiębiorstwo odnosi sukcesy. Blake nie jest taki. - Justin podszedł do niej. Patrząc roztargnionym wzrokiem na plażę Sausalito, ciągnął dalej: - Jak myślisz, dlaczego nikt tutaj go nie zna? Bo jest samotnikiem, typowym odyńcem, stroniącym od ludzi. Lubi się sprawdzać w trudnych sytuacjach. Dlatego też woli pracować w Wenezueli lub w Arabii Saudyjskiej. To twardy facet... Wyznaje zasadę „cel uświęca środki” i nie przejmuje się bliźnimi, którzy stają, mu na drodze do tego celu.

Andrea uśmiechnęła się, zerkając na Justina. - Przedstawiasz mi go jako najgorszego z najgorszych potwora - zażartowała.

Ale Justin nie miał ochoty na żarty. - Po prostu znam Blake'a. Potrafi być bardzo brutalny.

- Ale mimo to żywisz dla niego podziw? - zaryzykowała pytanie.

Odrzucił się gwałtownie i wrócił do biurka. - Owszem - odparł cicho.

- Tak to już jest, że starszy brat jest dla młodszego wzorem do naśladowania i obiektem podziwu. Nie znaczy to jednak wcale, że muszę go lubić.

- Rozumiem - zgodziła się Andrea.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza, którą przerwał wreszcie Justin.

- Odbiegliśmy jednak zanadto od głównego tematu naszej rozmowy, kochanie. Jeśli podejmiesz pracę u Blake'a, zostawisz mnie automatycznie na lodzie.

- Nieprawda, masz przecież jeszcze Jerry'ego Hagooda.  
- To dwudziestojednoletnie dziecko.  
- Owszem, nie dysponuje jeszcze doświadczeniem, ale to mądry chłopak, Justinie. Poza tym nie boi się pracy - broniła swego podopiecznego. - Za kilka lat podkupią go ludzie z „Time'a” lub „Newsweeka”, zobaczysz.  
- No, właśnie - westchnął Justin z ubolewaniem. - Stracę wszystkich dobrych pracowników na rzecz innych.

Andrea zbliżyła się do Justina i położyła mu dłoń na ramieniu. - Tak mi przykro... - powiedziała półgłosem. - Wiedziałaś jednak od początku, że zależy mi na czymś więcej niż na wygodnej posadce w redakcji. Nie robiłam tajemnicy z mojego marzenia o pisaniu książek.

Rozluźnił niecierpliwym gestem krawat. - Ach, marzenia, marzenia! Każdy z nas o czymś marzy!

- Tak, ale nie wszyscy chcą te marzenia realizować. Ja nie zapomniałam o swoim. Pracę w tej redakcji traktowałam jako kolejne doświadczenie zawodowe, ale od pewnego czasu nie mogłam się pozbyć wrażenia, że drepczę w miejscu. Praca z Blake'em to szansa, na którą długo czekałam.

Justin ujął jej dłoń. - Wiem, że jesteś zdecydowana poświęcić się pisarstwu, ale mam dla ciebie lepszą propozycję. Wyjdź za mnie, a będziesz mogła pisać, co tylko będziesz chciała.

- Justin, ty znowu to samo. Daj mi czas do namysłu.

Pokręcił głową rozczarowany. - Za długo już rozmyślasz na ten temat. Wyjdź za mnie i już. Chodźmy razem na lunch, to pogadamy o naszych sprawach. Na Union Street odkryłem rewelacyjną francuską knajpkę.

Teraz Andrea pokręciła głową. - Niestety, nie mogę. O dwunastej mam zajęcia baletowe. A może pobiegalibyśmy po Golden Gate Park? Taka piękna pogoda...

Justin skrzywił się na perspektywę uprawiania sportu. - Idź już sobie lepiej na ten swój balet. Muszę jeszcze trochę popracować. - Gdy Andrea była już przy drzwiach, zawołał jeszcze: - Jutro rano przyjadę po ciebie.

- Ale jutro jest przecież sobota.

- Czytałaś przecież telegram. Blake chce cię poznać.

J - Polecimy do Rijadu? - spytała Andrea z pewnym niedowierzaniem. Roześmiał się. - Nie, telegram z Arabii Saudyjskiej szedł tu po prostu dziesięć dni. Blake jest już w domu w Tahoe. Rozmawiałem z nim dzisiaj rano. Będziemy uczestniczyć w obiedzie rodzinnym, bo i moja matka tam będzie.

- Andrea położyła dłoń na klamce. - Zapowiada się więc nader interesujący dzień.

Na lekcji baletu Andrea nie mogła się skoncentrować na najprostszych ćwiczeniach. Stale myślała o niedawnej rozmowie z Justinem. Zaszokowały ją informacje o Blake'u. Czyżby naprawdę był takim potworem, za jakiego uważał go własny brat? Mimo to z zaciekawieniem oczekiwała spotkania z szefem firmy, w której pracowała. Była przekonana, że na płaszczyźnie zawodowej będzie umiała dojść z nim do porozumienia, niezależnie od tego, czy ma coś przeciwko kobietom, czy nie.

O wiele bardziej przerażała ją świadomość rychłego poznania matki Justina. Evelyn Everett podróżowała długo po Europie. Wróciła już ponad dwa miesiące temu do Stanów, ale Justin nie uczynił żadnego kroku, aby poznać obie kobiety ze sobą. Andrea przypuszczała, że nie chce tego robić przed zaręczynami.

Lekcja baletu dobiegła szczęśliwie końca. Andrea nie była z siebie zadowolona. Cieszyła ją tylko jedna rzecz. Problemy z rodziną Justina przesłoniły jej chwilowo wspomnienie szarookiego nieznajomego z Nevada City.

Z biura wyszła dopiero przed ósmą wieczorem. Zaparkowała samochód na podjeździe i skierowała się w stronę domu. Wspaniały zapach pieczonych pierożków mile podrażnił jej nozdrza. Jej sąsiadka Tania Miskowa, sympatyczna starsza wdowa, była córką jednego z tych wielu Rosjan, którzy uciekli z kraju przed rewolucją i osiedlili się w Potrero Hill.

Andrea spojrzała na starą, niegdyś elegancką, willę. Ojciec jej, Ellison Winslow, miał już czterdzieści lat, kiedy przyszła na świat. Matka Andrei umarła kilka lat później i od tej pory Ellison mieszkał samotnie ze swą jedynaczką w willi, która należała jeszcze do jego rodziców. Miał teraz sześćdziesiąt lat i nieco szwankował na zdrowiu z powodu wylewu, jaki mu się zdarzył kilka lat temu. Mimo to nie zmienił się wcale. Nadal był tym samym uroczym marzycielem, zbierającym stare znaczki pocztowe i monety oraz wspominającym z rozrzewnieniem służbę w piechocie morskiej.

Andrea znalazła go w jego gabinecie, gdzie za pomocą lupy studiował starą mapę żeglarską. Pocałowała go na powitanie.

- O, Andrea, już jesteś, kochanie - ucieszył się. - Przeczytałem właśnie fascynujący opis odważnej bitwy, jaką Horacy Nelson wydał Hiszpanom w okolicach Przylądka św. Wincentego i postanowiłem prześledzić jej przebieg na mapie. Cóż to była za wspaniała bitwa!

Andrea uśmiechnęła się rozbawiona. - Cieszę się, że się nie nudzisz, tatusiu.

- O, tak, potrafię sobie znaleźć zajęcie. - Starszy pan spojrział odruchowo w okno i skonstatował z niejakim zaskoczeniem, że jest już ciemno. - Masz chyba za sobą ciężki dzień, skoro dopiero o tej porze wracasz do domu, skarbie.

- Nie było tak źle, tatusiu. Taka gorączka przed zamknięciem numeru jest w zasadzie normalna. Mam za to nowinę. - Ellison złapał laskę, żeby wstać, ale Andrea powstrzymała go. - Nie ma pośpiechu, tato. Możemy spokojnie porozmawiać po kolacji.

O wpół do dziesiątej Andrea i jej ojciec zasiedli w salonie przy herbacie. Dziewczyna opowiedziała ojcu pokrótce o planowanej przez Blake'a Everetta książce i o tym, jak bardzo zależy jej na udziale w owym przedsięwzięciu. Ellison wyglądał na przygnębionego, co zrozumiała opacznie jako niepokój o siebie samego. - Tania Miskowa i inni przyjaciele z pewnością chętnie zajmą się tobą, tatusiu - pospieszyła z zapewnieniem.

Machnął ręką niecierpliwie. - Nie o to chodzi, kochanie. Wiem, że Tania nie da mi umrzeć z głodu. Przepadam zresztą za jej pysznymi zupami. Nie, chodzi mi o coś zupełnie innego.

- To na czym polega problem?

Spojrzał gdzieś poza córkę. - Bardzo przeżyłem śmierć twojej matki. Ty byłaś dla mnie wtedy jedyną pociechą. Myślałem, że będziesz do niej podobna. Owszem, jesteś, ale tylko zewnętrznie. Charakterem przypominasz mi zaś coraz bardziej moją matkę. Jej też nie można było odwieść od zamiaru, jaki powzięła. Nie była rozsądna, o, nie! Ten brak odziedziczyłaś z pewnością po niej. Rzucić się w jakieś przedsięwzięcie z mężczyzną, którego nawet nie znasz...

- To brat Justina!

- ... z mężczyzną, którego nawet nie znasz - ciągnął spokojnie Ellison - to kolejny dowód na to, że jesteś taka sama jak twoja babka. Westchnął ciężko i zmienił temat. - Śmierć młodego Farrella była

dla mnie czymś strasznym. Był takim rozsądnym, przyzwoitym człowiekiem. Z całą pewnością byłby dla ciebie dobrym mężem. Potem pojawił się w twoim życiu Justin, mężczyzna ze wszech miar godzien zaufania. Mam jednak wrażenie, że nie kochałaś ani jednego ani drugiego. A teraz ta nagła ucieczka w góry... Ojciec spojrzął na Andreę bezradnie.

- Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz, tatusiu - pogłaskała go po ramieniu. - Będę tylko o cztery godziny drogi od domu, a poza tym jestem w końcu dorosłą kobietą.

Ku jej zaskoczeniu ojciec pokiwał głową. - Wiem o tym nie od dzisiaj. - Wziął laskę i chciał wstać. Andrea zerwała się, aby mu pomóc.



- Chodźmy do mojego gabinetu - powiedział. - Chciałbym ci coś dać. Ellison zapalił lampę na biurku, otworzył szufladę i wyjął z niej plik jakichś papierów. - Te listy pisała twoja babka. Powinnaś je przeczytać. Może zrozumiesz ją lepiej niż ja.

- Dziękuję, tatusiu - szepnęła przejęta Andrea. - Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić, maleńka. Rób, co uważasz za słuszne. Od tygodnia, od kiedy wróciłaś z tego wesela, obserwuję w tobie pewną zmianę. Jesteś taka pełna życia, ale też... bardziej niespokojna niż zazwyczaj.

Andrea poczuła, że na jej policzki wypełzł zdradziecki rumieniec. Na szczęście ojciec niczego nie zauważył. Pocałował ją przelotnie w czoło. - Dobranoc, kochanie - powiedział z rezygnacją i podpierając się laską poszedł do swojej sypialni w końcu korytarza.

Andrea pobiegła jeszcze do Tani Miskowej, żeby poprosić ją o opiekę nad ojcem, a potem poszła do łóżka z listami swojej babki. Znalazła między nimi starą poźółkłą fotografię. Przyglądała się jej długo, aż w końcu zapadła w głęboki sen.

### ROZDZIAŁ 3

- Prawda, że ta trasa jest wyjątkowo piękna? - spytał Justin, gdy przejechali granicę między Kalifornią a Nevada. Wokół nich ciągnęły się majestatyczne góry.

- Tak, rzeczywiście - odparła Andrea automatycznie. Zerknęła ukradkiem na zegarek. Była już trzecia. Niedługo powinni skręcić do Tahoe.

Z San Francisco wyjechali według planu wcześniej rano, ale Justin postanowił zrobić przy okazji wycieczkę krajoznawczą. Zboczyli do kilku miejsc, aby obejrzeć różne zabytki i ciekawostki, a potem zjedli obiad w starej tawernie. Andrea odniosła wrażenie, że Justin chce odwlec moment spotkania z bratem.

Kilka mil za Tahoe City Justin skierował samochód na zwirowaną drogę, stromo pnącą się pod górę. Samochodem kiwało i huštało na wszystkie strony, bowiem w nawierzchni było mnóstwo dziur. Niedostatki owej jazdy wynagrodził Andrei w pełni przepiękny widok ze szczytu góry. W dolinie lśniły zielonobłękitne wody jeziora Tahoe, okolone dwoma łańcuchami górskimi. Tu właśnie rozgałęziały się góry Sierra Nevada.

Po jakimś czasie górską drogą zmieniła się w wyasfaltowany podjazd. - Jak widzisz, mój brat stara się o swoją posiadłość - zauważył Justin z przekąsem.

Oczom ich ukazał się dom Blake'a Everetta. Zbudowany z drewna i kamieni komponował się doskonale z krajobrazem. Od razu spodobał się Andrei. Kiedy wysiadła z wozu, odkryła na nasłonecznionym zboczu kwitnący sad i niewielki ogródek warzywny.

Odwróciła się do Justina i zauważyła z rozbawieniem, że zatroskany przygląda się swemu bardzo zabłoconemu BMW. - Czasami bywasz nudny jak księgowy - zażartowała.

Rzucił jej gniewne spojrzenie. - Nie chodzi mi tylko o stopień zabrudzenia samochodu, Andreo, ale również o amortyzatory. Podjazd po takim żwirze równa się przejechaniu pięciu tysięcy mil w normalnych warunkach.

- Czyżbyś tu nigdy nie przyjeżdżał? - spytała z niedowierzaniem.

- Bardzo rzadko - odparł krótko.

- Powinieneś mieć taki pojazd - wskazała landrover stojący przed garażem. W tej chwili z domu wyszedł stary Chińczyk. Z jego opalonej twarzy i zniszczonych rąk można było wywnioskować, że zajmuje się ogrodnictwem.

Sklonił się przed Justinem. - Witamy serdecznie, panie Everett. Rodzina już pana oczekuje.

- Dzień dobry, panie Wei - Justin odklonił się z wystudiowanym uśmiechem. - Ma pan chyba teraz dużo pracy.

- O, tak. Wiosna to pełne ręce roboty dla ogrodnika.

Justin wziął Andreę pod ramię i poprowadził ją po kamiennych schodach na werandę otaczającą cały dom. Andrea spostrzegła jezioro prześwietlające między gałęziami pinii. Oczarowana tym widokiem nie zauważyła, że stoi już przed starszą panią, która siedziała przy stole w oszklonym patio.

Kobieta odłożyła czasopismo na bok i spojrzała na nią zimnym wzrokiem sponad okularów.

Justin pocałował matkę na powitanie. Musnęła jego policzek perfekcyjnie umalowanymi wargami. - Justin, kochanie, gdzie ty się tak długo podziewał? Dotty Archer przywiozła mnie tu już kilka godzin temu. Nie mogłam się ciebie doczekać. Wiesz, że twój brat i ja jesteśmy skłonni do kłótni, gdy zostajemy zbyt długo sam na sam. - Słowom tym towarzyszył słaby uśmiech.

- Przepraszam, mammo. - Justin objął Andreę w tali. - Mieliśmy taką śliczną pogodę, że postanowiliśmy zwiedzić to i owo po drodze.

- Rozumiem. - Pani Everett prześliznęła się wzrokiem po Andrei. Zauważyła jasny koński ogon przewiązany brązową aksamitką, różową jedwabną bluzkę, która najwyraźniej nie wzbudziła jej aprobaty, brązowy tweedowy blezer i brązowe spodnie ze sztruku. Andrea poczuła się pod tym taksującym spojrzeniem jak owad pod mikroskopem.

- Mammo - odezwał się Justin - chciałbym ci przedstawić Andreę Winslow.

- Dzień dobry, pani Everett - Andrea z miłym uśmiechem wyciągnęła do niej rękę. - Od dawna chciałam już panią poznać. - Miała nadzieję, że nikt nie usłyszał ironii w jej głosie.

Pani Everett skłoniła głowę i dotknęła dłoni Andrei koniuszkami palców. Zmarszczyła brwi patrząc na syna. - Zadziwiasz mnie, kochanie. Blake wymienił nazwisko Winslow, ale sądziłam, że chodzi o mężczyznę. Zresztą on cały czas mówił, że chce zatrudnić właśnie mężczyznę. - Pani Everett mówiła takim lekceważącym tonem, że nietrudno było odgadnąć, iż nie akceptuje ani swojego pasierba ani jego planów dotyczących napisania książki.

Justin potarł ręką czoło i roześmiał się nerwowo. - Tak, mammo, sprawy nieco się skomplikowały. Mam nadzieję, że niebawem wszystko się wyjaśni. Ja...

Zanim przeszedł do wyjaśnień, przerwał mu głęboki baryton: - Justin, gdzie ty, do ciężkiej cholery, byłeś tak długo?!

Andrea zamarła na dźwięk tego głosu. Nie wierzyła wprost własnym uszom. Zacisnęła w dłoni torebkę, aż jej kostki zbieleły. Poczula na sobie twarde wzrok pani Everett i wiedziała, że nie ma innego wyboru, że musi się odwrócić i stanąć twarzą w twarz z właścicielem tego głosu.

Obaj bracia uścisnęli sobie dłonie. Andrea odwróciła się powoli. W szarych oczach Blake'a ujrzała zaskoczenie, które zaraz ustąpiło miejsca zaciekawieniu połączonemu z rozbawieniem.

Justin przyciągnął ją do siebie. - Blake, to jest moja przyjaciółka, Andrea - przedstawił ją nie bez dumy.

Drgnęła, nie spodziewając się takiej prezentacji. Rozbawienie zniknęło natychmiast z oczu Blake'a. Kiwnęła sztywno głową, unikając wzroku mężczyzny, który rozbudził w niej tak silną namiętność. Jeszcze dzisiejszego ranka myślała z rozpaczą, że pewnie nigdy go już nie spotka. Teraz zaś rozpacz jej pogłębiła się jeszcze w obliczu pułapki, jaką los na nią zastawił.

Blake zaczął rozmawiać z młodszym bratem, więc Andrea mogła mu się przypatrzeć. Miał na sobie białe spodnie z lnu i czarny sweter, którego podwinęte rękawy ukazywały opalone na brąz silne ręce. Sylwetką przypominał sportowca, alpinistę, który... „poskromił nagą skałę”. Przypomniała sobie te słowa, które padły z jego ust na werandzie hotelu. Puzzle same wskoczyły na swoje miejsce.

Jakby z daleka dobiegał do niej głos Blake'a. - Nie mam ci za złe, że chciałeś' mi przedstawić swoją zdobycz. Jest naprawdę urocza - zawiesił głos, patrząc znacząco na Andreę - ale przecież nie po to cię tu wzywałem. Gdzie jest ten redakcyjny cud - Terry Winslow, z którym mam pracować?

- Stoi właśnie przed tobą. - Próba żartu wypadła ze strony Justina bardzo mizernie.

- Jeżeli to dowcip, to bardzo kiepski - zdenerwował się Blake.

- To nie jest żaden dowcip. Chciałem ci to wyjaśnić wczoraj przez telefon, ale nie dopuściłeś mnie do głosu.

Blake spojrział z wyrzutem na Andreę. - Widzę, że lubuje się pani w takich trikach. Czy zawsze udaje pani kogoś innego?

Dwuznaczność tych słów sprawiła, że Andrea poczerwieniała. Mimo to wytrzymała jego spojrzenie. - Nazwano mnie po babce Andrea Terrence. Jaki pan tu widzi trik?

- Co pani wie o wspinaczce? - zapytał.

Zdenerwował ją ten opryskliwy ton. - Nie mam na ten temat zielonego pojęcia - odparła poirytowana. - Jestem pisarką, a moim narzędziem pracy są słowa. Gdyby nie potrzebował pan moich umiejętności, nie wzywałby mnie pan tutaj, czyż nie?

Blake patrzył na nią w milczeniu, jakby układał sobie w myślach plan bitwy.

- Rozumiem, o co ci chodzi, Blake - wtrącił się Justin. - Jeśli chcesz, mogę Andreę zabrać z powrotem do Frisco. To bardzo dobra redaktorka i wolałbym jej nie tracić.

- Jestem o tym przekonany, Justin - Blake wybuchnął sarkastycznym śmiechem. - I żeby jej nie stracić, musisz spełniać wszystkie jej zachcianki, co?

Evelyn Everett przysłuchiwała się rozmowie z chłodnym spokojem. Do tej pory trzymała język za zębami, ponieważ Blake wściekał się, gdy tylko odważyła się wtrącić do rozmowy dwóch braci, ale teraz poczuła, że musi stanąć w obronie ukochanego syna. - No, wiesz co, Blake! - postukała starannie polakierowanymi paznokciami w blat stołu. - Czasami zachowujesz się jak ostatni cham! Byłabym ci zobowiązana, gdybyś zwracał się do Justina innym tonem.

- Ja zaś byłbym ci zobowiązany, gdybyś się nie wtrącała do nas, Evelyn.

Pani Everett zamilkła urażona. Pełna napięcia cisza trwałaby zapewne dość długo, gdyby w drzwiach nie pojawiła się meksykańska gospodyni Maria, która przyniosła tacę z drinkami.

- Co dla pani, seniorito? - zapytała uprzejmie Andreę.

- Poproszę wytrawne białe wino.

- Coś takiego! - zawołał szyderczo Blake. - Byłem pewien, że wybierze pani szampana!

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, na które skrzywił się kpiąco.

Kiedy każdy dostał już swojego drinka, Blake i Justin przysiedli się do pani Everett i zaczęli rozmawiać na służbowe tematy dotyczące funkcjonowania ich przedsiębiorstwa.

Andrea była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Na chwilę zapomniano o niej, poszła więc w drugi koniec tarasu. Dochodziły do niej fragmenty rozmowy. Blake mówił zniecierpliwionym głosem: - Dobrze wiem, że powinniśmy na każdym kroku wspierać naszych najlepszych pracowników. Chciałem przyjechać na wesele Jima, ale avanti odmówił mi posłuszeństwa... - przerwał, a Andrea poczuła na sobie jego wzrok - ...w związku z czym spóźniłem się.

Dopiła resztkę wina, nadal przysłuchując się jednym uchem dyskusji Everettów. Maria zaproponowała jej kolejnego drinka, ale podziękowała. Gospodyni zauważyła, że dziewczyna jest spięta, i spytała ze współczuciem: - Ma pani męczącą podróż za sobą, prawda? Może chciałaby pani odpocząć troszkę w swoim pokoju?

- Świetny pomysł! Dziękuję!

Idąc po schodach za gospodynią, przypomniała sobie, jak Justin opisywał jej swojego brata. Samotny odzieniec o żelaznej woli... Ten opis nie bardzo jej pasował do szarmanckiego, uroczego mężczyzny z Red Castle Inn. który tak bardzo ją pociągał. Czyżby aż tak się co do niego pomyliła?

Maria otworzyła drzwi i zaprezentowała Andrei jej pokój. Było to dość duże pomieszczenie, w którym nie stało jednak zbyt wiele mebli. Szerokie łóżko pokrywała kolorowa peruwiańska kapa. Andrea zauważyła, że wniesiono już tu jej bagaże. Maria podeszła do okna, aby spuścić nieco żaluzje przed jasnym popołudniowym słońcem. Potem zwróciła się do Andrei, czytając jakby w jej myślach: - Niech pani nie myśli źle o seniorze Everecie. - Uśmiechnęła się do dziewczyny. - Niech sobie pani teraz odpocznie, seniorita. Kolację podajemy o szóstej trzydzieści.

Kiedy gospodyni zamknęła za sobą drzwi, Andrea zdjęła buty i położyła się na łóżku. Była bardziej zmęczona, niż myślała. Długa podróż i niedawne wydarzenia porządnie dały się jej we znaki.

Zamknęła oczy próbując się zdrzemnąć, ale sen nie nadchodził. Cały czas łamała sobie głowę nad tym, jak rozwiązać konflikt, który niechcący wywołała.

Blake w niczym nie przypominał dzisiaj uwodziciela z hotelu. Był taki nieprzyjemny i dziwnie rozdrażniony... Mój Boże, myślała Andrea z obawą, jakże ja mam pracować z takim typem?

Kwadrans po szóstej Andrea zeszła na dół, ubrana w czarnożółtą suknię z krepdeszynu. Długie jasne włosy spięła z tyłu głowy czarnymi spinkami.

W salonie nikogo nie było, wobec tego zarzuciła złoty jedwabny szal na ramiona i wyszła na tylną werandę. Mimo dotkliwego chłodu długo patrzyła na jezioro, które teraz mieniło się wszystkimi odcieniami granatu.

Zadrzała przy kolejnym podmuchu zimnego wiatru, postanowiła więc wejść z powrotem do domu. Rzuciła szal na stółek stojący obok szklanych drzwi i rozejrzała się po pokoju. Na górnych półkach regałów stały kunsztownie wyplatane koszyki rozmaitych kolorów i kształtów, a na wysokości oczu leżały stare indiańskie przedmioty: kamienne ostrza strzał, kolczyki z jadeitu i gliniane fajki. Nad ceglany kominkiem wisiał obraz przedstawiający Indian Nawaho przy lepieniu garnków. Namalowany został

odważnymi pociągnięciami czarnej kreski, a jedyny kolorowy akcent stanowiła czerwona spódnica starej Indianki.

- Podoba się pani? - głos Blake'a Everetta przeszkodził jej w kontemplacji obrazu.

Andrea odwróciła się gwałtownie. - Tak, bardzo - odparła szczerze. - Ma bardzo dużą siłę wyrazu. Na co dzień obcuje tylko z rycinami żaglowców mojego ojca i czarno-białymi fotografiami monet. Czasami mam wrażenie, jakbym mieszkała w muzeum.

Blake uśmiechnął się. - Chce pani powiedzieć, że nie ma pani nawet reprodukcji „Tancerek” Degasa? Bardzo cenię tego malarza. Nikt tak jak on nie potrafił oddać gracji i lekkości ruchów kobiety.

Andrea spojrzała w bok, żeby umknąć przed nim wzrokiem. Gorączkowo zastanawiała się, co ma teraz powiedzieć. - Zauważyłam też, że lubi pan sztukę prekolumbijską. Musiał pan spędzić sporo czasu w Ameryce Południowej.

- Tak. Mogłem tam zaspokajać obie moje pasje: wspinaczkę i kolekcjonowanie.

- Bierze pan dzieła sztuki? - Andrea spojrzała na niego pytająco.

- Tak... a ponadto wszystko, co mi się podoba. Czy mógłbym pani zaproponować coś do picia? - zmienił temat.

- Chętnie napiję się białego wina.

Blake podszedł do barku, a Andrea uświadomiła sobie, jak bardzo obaj bracia się różnią. Justin miał okrągłą twarz o dziecinnych rysach, podczas gdy Blake był zdecydowanie męskim typem. Podał jej kieliszek i palce ich zetknęły się mimo woli. Andrea zadrżała, czując to samo podniecenie, jakie ogarnęło ją wtedy w hotelu. Spojrzała bacznie na swego towarzysza. Zauważył to? Zajęta obserwowaniem reakcji własnego ciała, nie była przygotowana na pytanie, które jej zadał: - Na ile poważny jest pani związek z Justinem?

Spuściła oczy zmieszana. Wiedziała, że musi coś odpowiedzieć, ale nie bardzo wiedziała, co.

- Ja... - wyjąkała i urwała. Na szczęście w tym momencie do salonu wszedł Justin. Przynajmniej raz zjawił się w porę, pomyślała z wdzięcznością.

- Jak się macie, kochani! - wykrzyknął jowialnie. - Jeśli chodzi o mnie, to jestem niewyobrażalnie wprost głodny. Mam nadzieję, że Maria przygotowała nam coś pysznego na kolację. Musimy się z Andrea wzmocnić przed jutrzejszą podróżą do domu.

Blake jednym haustem opróżnił swój kieliszek. - Ona nie wraca do domu - zakomunikował tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Justin wyglądał na zaszokowanego. - Wyraźnie przecież powiedziałaś, że kobieta nie nadaje się do tej pracy.

- No ale to przecież ty ją zaangażowałaś do „Wildcat”. Uważasz, że nie jest dość dobra?

- Nie, oczywiście, że nie... - Justin urwał, gdyż Maria przyszła właśnie poprosić ich na kolację. Dodała, że pani Everett już czeka.

Jadalnię urządzono w przyjemnym słonecznym pokoju z widokiem na góry. W dębowej witrynie stała piękna ceramika meksykańska. Duży stół został udekorowany makami i świecami w mosiężnych lichtarzach.

Wszyscy oprócz Justina usiedli do stołu, on zaś poprosił Marię o butelkę wina, otworzył ją i napełnił kieliszki. Następnie podniósł w górę swój kieliszek i odchrząknął. - Wznoszę toast za moją narzeczoną. Postanowiłem niczego nie ukrywać. Mamo, Blake... Andrea i ja chcemy się pobrać. - Powiódł pełnym oczekiwania wzrokiem po zebranych.

Andrea zbladła czując, że brak jej tchu. Drżącymi palcami odstawiła kieliszek. Pani Everett przybrała maskę chłodnego spokoju, a Blake skrzywił się z niesmakiem.

Niezadowolona mina Justina dobitnie świadczyła o tym, że liczył na większy entuzjazm rodziny.

Blake pierwszy przerwał pełną napięcia ciszę. - Wypijmy więc za wasze szczęście - odezwał się opanowanym głosem, podnosząc kieliszek. Andrea wyczuła w jego słowach lekką nutę sarkazmu.

Pani Everett zmierzyła syna gniewnym wzrokiem. - Doprawdy, Justinie, czy nie zanadto się spieszyłeś?

On był jednak przygotowany na krytykę ze strony matki. - Nie. mamo. moja decyzja jest przemyślana.

Wszyscy przyjęli z ulgą pojawienie się Marii z dymiącymi półmiskami. Pyszny pstrąg faszerowany krabami smakował Andrei jak wata.

Była tak wzburzona, że udało jej się przełknąć zaledwie kilka kęsów. Zupełnie nie wiedziała, co ma począć. Najchętniej wstałaby i ogłosiła wszem i wobec, że Justin mija się z prawdą, ale przecież nie mogła mu tego zrobić. Wystawiłaby go na pośmiewisko. Musi z nim porozmawiać w cztery oczy. Próbowала ściągnąć na siebie jego wzrok, ale on konsekwentnie umykał spojrzeniem gdzieś w bok.

Nikt nawet nie próbował podtrzymać rozmowy. Ciszę przerywał tylko brzęk sztućców. Blake patrzył przez okno na ciemne góry. Co on sobie teraz



o mnie myśli? - zastanawiała się Andrea. Koniecznie musi porozmawiać z Justinem!

Justin, czując, co się święci, zaproponował Blake'owi partyjkę szachów i obaj panowie przeszli do salonu zaraz po kolacji.

Andrea przeprosiła panią Everett, która ledwie zauważała jej obecność, i wyszła na zewnątrz.

Wróciła do domu, gdy we wszystkich pokojach było już ciemno. Miała po dziurki w nosie towarzystwa Everettów.

Na schodach przypomniała sobie, że zostawiła w salonie szal, wróciła więc po niego. Zerknęła mimo woli w okno i zauważyła, że księżyc już wzeszedł i srebrzystą poświatą oświetlał wody jeziora. Pod wpływem jakiegoś niewytłumaczalnego impulsu otworzyła szklane drzwi i wyszła na werandę. Wiatr już nieco przycichł, - ale nadal było bardzo zimno. Nagle zauważyła ognik papierosa; zdała sobie sprawę, że nie jest sama.

Blake już się do niej zbliżał. - Kiedy przed kolacją spytałem panią, na ile poważny jest pani związek z Justinem, nie liczyłem na odpowiedź, którą mi zaserwował mój brat. Chyba uważa mnie pani za głupca! - skrzywił się szyderczo, omiatając dziewczynę lodowatym spojrzeniem swoich szarych oczu.

Andreę natychmiast rozbolała głowa. - Blake. proszę - wyszeptała.

- Niech się pan ze mnie nie wyśmiewa. Miałam koszmary dzień.

- O tym jestem przekonany - odparł odpychającym tonem. - Na pewno wyczerpały panią wysiłki, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Ciekaw jestem, na ilu mężczyznach zdążyła pani wypróbować swoje sztuczki?

- Nie ma pan prawa mówić do mnie w ten sposób! - krzyknęła rozgniewana.

- Może nie - zgodził się. - Ale mam chyba prawo złożyć życzenia przyszłej pani Everett. Ponieważ zapewne nie będzie mnie na waszym weselu, chciałbym skorzystać z okazji i pocałować pannę młodą właśnie teraz.

I zanim Andrea zdążyła się zorientować, schwycił ją szorstką dłonią za kark i przywarł wargami do jej ust. Przycisnął ją do siebie tak mocno, że Andrea nie miała najmniejszych szans obrony.

Po kilku sekundach puścił dziewczynę gwałtownie. - Dobranoc, pani Everett - powiedział głosem ostrym jak brzytwa. - Mam nadzieję, że Justin będzie umiał docenić pani namiętą naturę.

- Ależ, Blake... - rozszlochała się nagle, ale on odwrócił się tylko i zostawił ją samą.

Wbiegając po schodach, omal się nie zderzyła z Justinem. Zdenerwowana i wściekła wyładowała się na nim. - Justin, w co ty ze mną grasz?! Jeśli myślisz, że nadal będę udawać, że jestem twoją narzeczoną, to się mylisz! Nigdy nie dałam ci podstaw do takich deklaracji wobec rodziny! Żądam, abys powiedział matce i bratu prawdę! Co ci w ogóle strzeliło do głowy!

- Przepraszam cię, Andreo... - szepnął przygnębiony Justin. - Nie rozumiesz, że musiałem coś powiedzieć? Miałem ważenie, że cię tracę.

Andrea posmutniała nagle. - Justin, nie można przecież stracić czegoś, czego się nigdy nie posiadało. - Spojrzała mu poważnie w oczy. po czym poszła do swojego pokoju.

RS

## ROZDZIAŁ 4

O świcie Andrea postanowiła pobiegać trochę po lesie. Pierwsze promienie słońca prześwietlały już gałęzie wysokich drzew.

Poranną ciszę przerywały niekiedy głosy ptaków. Dziewczyna próbowała zapomnieć o wczorajszych wydarzeniach, zachwycając się niczym nie skażoną przyrodą, ale nie bardzo jej to wychodziło. Stała wracała myślami do upokarzającej sceny z Blake'em na werandzie. Zastanawiała się, czy ta sprawa definitywnie przekreśli jej szansę na interesującą pracę. Było bardzo prawdopodobne, że Blake będzie chciał ją ukarać za to, że jest narzeczoną jego brata.

Ścieżka dochodziła do leśnej drogi prowadzącej tam, skąd Andrea przyszła. Zmieniła tempo biegu na marszowe, ponieważ poczuła się już zmęczona. Zatrzymała się tylko na chwilę, aby spojrzeć na zielonkawę o tej porze dnia wody jeziora. Otaczające je góry spowite były jeszcze oparami mgły. Widok był tak piękny, że Andrei zaparło dech w piersiach. Miała wrażenie, że znalazła się sama gdzieś na końcu świata. Co za różnica w porównaniu z miejskim krajobrazem Potrero Hill, gdzie spędziła całe swe dotychczasowe życie!

Miała nadzieję, że Justin wyjaśnił matce i bratu wczorajsze nieporozumienie, zwłaszcza zaś to, że nie ma zamiaru zostać jego żoną. Wróci do domu i przekona się, czy postąpił tak, jak sobie tego życzyła.

Po drodze do pokoju nie spotkała nikogo, nadal więc nie wiedziała, jak się sprawy mają. Wzięła prysznic i przebrała się w białe szorty i pasiasty sweter. Odświeżona i porządnie uczesana zeszła na dół. Przed drzwiami biblioteki Blake'a wpadła na panią Everett.

- A, jest pani, panno Winslow - powitała ją chłodno starsza pani.

- Czy wie pani może, dlaczego Justin tak prędko odjechał? Blake mówi, że wezwali go do San Francisco jakieś niecierpiące zwłoki interesy.

- Czy to znaczy, że wyjechał nic nikomu nie mówiąc? - spytała Andrea słabym głosikiem. Poczowała, że robi się jej ciemno przed oczami, uświadomiła sobie bowiem, że pani Everett i Blake nadal będą ją uważać za narzeczoną Justina.

- Właśnie o tym mówię - odparła Evelyn szorstko. - Nie mogę wprost uwierzyć, że jest taki bezmyślny. Zostawił mnie tu na pastwę mojego pasierba i w ogóle się mną nie zainteresował.

- Pewnie miał coś ważnego do załatwienia. - Andrea wzięła Justina w obronę. - Chętnie odwiozę panią do Tahoe City, jeśli Blake pożyczyci mi swojego landrovera.

- To zbyt cenne, panno Winslow - Evelyn zmierzyła ją lekceważącym wzrokiem. - Mogę tu przecież zostać kilka dni. Pan Wei na pewno chętnie skorzysta z moich rad dotyczących uprawy ogrodu, a przy okazji poproszę go o kilka sadzonek dla siebie. - Skinęła Andrei głową i poszła w swoją stronę.

Wzruszając ramionami, Andrea weszła do biblioteki. Powinny tu być jakieś książki o tematyce górskiej. Chciała je przejrzeć, aby wyrobić sobie jakieś takie pojęcie o wspinaczkach. Przed kominkiem o lśniącym miedzianym okapie stał obszerny skórzany fotel, zachęcający do lektury przy blasku ognia. W niskim regale pod ścianą leżały jakieś rzeczy, prawdopodobnie oprzyrządowanie do wspinania się. Nad regałem wisiała grupa fotografii oprawionych w ramki. Przyglądała im się właśnie, gdy usłyszała za sobą czyjeś kroki.

- Sądziłem, że zaangażowałem pisarkę, a nie wężącą reporterkę - powiedział Blake na pozór spokojnie, z pewnym jednak odcieniem niezadowolenia w głosie.

Andrea odwróciła się przestraszona. Zaraz jednak rozżościła się.

- Nie oczekuje pan chyba, że napiszę coś porządnego bez przygotowania! - Wytrzymała jego badawcze spojrzenie.

- Jedyną rzeczą, o której powinna pani mieć pojęcie, jest podstawowe wyposażenie alpinisty. - Blake wyciągnął z regału stalowy hak z kluczką. - Ten hak służy do wspinania się po górach. Wbijają się go w skałę, co stanowi zabezpieczenie dla wspinającego się. Przez hak przeprowadza się linę, którą mocuje się tu karabinkiem - wyjaśniał rzeczowo. - Linę tę trzeba sobie zawiązać w pasie. Ma ona znaczenie asekuracyjne. Jeśli ktoś się pośliznie, może liczyć na to, że inni wspinający się utrzymają go na tej linie. Każdy funkcjonuje dla swego partnera jako przeciwwaga. Metoda ta nie jest jednak w stu procentach pewna. Ten, kto odpadł od ściany, może równie dobrze pociągnąć za sobą kolegów w dół.

Andrea słuchała z zainteresowaniem objaśnień Blake'a. - A jak wygląda zejście w dół? - spytała.

- Schodzi się po linie, co dla osoby stojącej z boku wygląda bardzo niebezpiecznie. Sprawa nie jest jednak aż tak groźna, dopóki górny hak mocno tkwi w skale.

- Ale ta lina musi przecież obcierać ciała wspinających się aż do krwi! - wykrzyknęła Andrea przerażona.

Blake pokręcił głową. - Nie musi. - Wyjął, z regału porządnie zrolowaną linę. - Wszystko zależy od tego, w jaki sposób alpinista będzie z niej

korzystał. Jeśli ułoży ją ukośnie do ciała, o, tak... - Blake ukląkł i przyłożył fragment liny do gołych ud dziewczyny.

Drgnęła pod wpływem nieoczekiwanego dotyku jego dłoni. Blake zauważył to oczywiście. Uśmiechnął się po raz pierwszy tego ranka. Powoli powiódł wzrokiem po udach Andrei, jej szczupłej talii i pełnych piersiach, rysujących się wyraźnie pod swetrem. - Proszę się nie bać - szepnął. - Praca i zabawa to dla mnie dwie różne rzeczy.

- Co jest dla pana zabawą? - odparła Andrea ostro. - Traktowanie kobiet jak przedmioty, które wyrzuca się po zużyciu?

Blake wstał powoli i schwycił ją swoimi szorstkimi palcami pod brodę. - Wiem, że pani jest kobietą - uśmiechnął się ironicznie. - Od początku stanowiło to dla nas pewien problem. - Puścił ją i przeniósł wzrok na regał. - Myślałem, że zaszczipię Terry'emu Winslowowi swoją miłość do gór. Nie miałem pojęcia, że przyjdzie mi pracować z kobietą.

Andrea oburzyła się. - Niech pan posłucha, Blake. Przebiegam codziennie sześć mil i niech mi pan wierzy, niewielu mężczyzn jest w stanie to zrobić. Proszę powiedzieć, gdzie będzie się pan jutro wspinał, a przyjdę tam.

Blake pokazał w szerokim uśmiechu równe rzędy białych zębów.

- A więc do roboty, Winslow!

Blake nie przyszedł na kolację, Andrea była więc zdana na towarzystwo pani Everett. Obie panie, jakby się umówiły, nie zabawiły zbyt długo przy posiłku. Andrea pospacerowała jeszcze troszkę po skalnym ogródku pana Wei, dopóki nie zapadł zmierzch. Patrząc na połyskliwe wody jeziora, zastanawiała się, gdzie też mógł się podziewać Blake.

Kiedy następnego ranka wróciła ze swojego codziennego biegu, zastała na łóżku niespodziankę. Leżało tam mnóstwo rzeczy: spodnie w kolorze khaki, pionierki, daszek od słońca, puchowa kamizelka i zielony plecak. Zainteresowana sprawdziła jego zawartość. Między różnymi artykułami spożywczymi znalazła latarkę, małą apteczkę, zapalki i menażki ze sztućcami.

Zamknęła plecak i założyła go sobie na plecy. Oceniała jego wagę na mniej więcej osiem kilogramów. Jak miała się z takim ciężarem wspinać? Przypomniała sobie jednak zaraz, że doświadczeni alpinści noszą plecaki ważące często powyżej dwudziestu pięciu kilogramów. Poczyszona tą myślą zesłała na dół na śniadanie.

Blake był już w jadalni. - Sądząc z rzeczy, które znalazłam w pokoju, szykujemy się na małą wyprawę - powiedziała do niego bez żadnych wstępów. - Zwróć panu za odzież.

Blake nie krył rozbawienia, widząc ją tak rozgorączkowaną, z potarganymi włosami i w luźnym dresie. - Nie będzie mi pani za nic zwracać. Czyżby zapomniała pani, że jest pani teraz moim pracownikiem, Winslow? To ja pokrywam wszelkie koszty utrzymania pani.

Andrea potarła brodę w zamyśleniu. - Ile szczytów będziemy dzisiaj zdobywać, panie Everett?

Blake nie zdążył jej odpowiedzieć, ponieważ Maria przyniosła właśnie Andrei talerz z gorącymi tortillami, pieczoną fasolą i jajkami. Andrea podziękowała jej miło i z ogromnym apetytem zjadła wszystko, popijając mocną kawą. Zauważyła na koniec, że Blake przygląda się jej z wyraźnym zadowoleniem. Spojrzała na niego pytająco.

Oparł łokcie o stół. - Uznałem, że na początek najlepsza będzie południowa ściana Pyramid Peak. Jest ona zakwalifikowana do czwartego stopnia trudności, co oznacza, że będą nam potrzebne haki i liny. Czy jest pani na to przygotowana? - spytał swoim zwykłym kpiącym tonem.

- Na co jeszcze czekamy? Chodźmy już! - odparła Andrea stanowczo.

Jazda landroverem do podnóża góry zajęła im niecałe dwadzieścia minut. Andrea zadarła głowę, żeby dojrzeć szczyt czterotysięcznika, na który miała się wspinać. Nie miała już czasu na zastanawianie się, czy podoła wyzwaniu rzuconemu przez Blake'a.

Jej towarzysz dał już sygnał do wymarszu. Z miejsca narzucił ostre tempo. Andrea ruszyła za nim.

Początkowo wspinaczka była tylko piękną, aczkolwiek dość wyczerpującą wędrówką. Torowali sobie drogę przez krzaki i zarośla, płosząc przy tym gromady przepiórek górskich. Wyżej w górze rozpostarł się przed nimi świat roślin alpejskich.

Dwie godziny później Blake zarządził krótki postój w skąym cieniu karłowatej sosny. Z plecaka Andrei wydostał dwie puszkę soku pomarańczowego, który spragnieni wypili natychmiast. - No i jak się pani podoba nasza wycieczka? - spytał z ciekawością.

- Uważam, że to bardzo zdrowy sposób spędzania wolnego czasu - odparła poirytowana, zauważyła bowiem, że Blake oddycha tak spokojnie i równomiernie, jakby dopiero co wstał z łóżka, podczas gdy ona była porządnie zziębnięta. - Może usiedlibyśmy na chwilę, abym mogła zrobić sobie notatki? - zaproponowała dysząc, mimo że z góry znała odpowiedź.

- Nie ma mowy, Andreo - pokręcił głową. - Widzi pani ten występ skalny? - wyciągnął rękę w stronę miejsca położonego trzysta metrów nad nimi.

Andrei miejsce to wydało się równie odległe jak Mars. - Tak, widzę - odparła.

- Tam zrobimy sobie przerwę na lunch.

- Cudownie - mruknęła w ślad za oddalającym się już Blake'em. Ścieżka zaczęła nagle piąć się stromo w górę. Ponieważ słońce grzało niemiłosiernie, Andrea zdjęła swoją puchową kamizelkę i umieściła ją na plecach pod rzemieniami plecaka. Blake czekał już na nią. Obwiązał ją w pasie nylonową liną.

- Nie potrzebujemy jej jeszcze wprawdzie, ale wolę nie ryzykować. Ja będę prowadził, a pani będzie podążała za mną dopiero wtedy, gdy znajdzie pewne oparcie. Proszę patrzeć uważnie, gdzie pani stawia nogi, a gdy znajdzie pani pewne miejsce, należy ciężar ciała przenieść najpierw na jedną stopę, a potem na obie.

Zaczęli się wspinać. Andrea musiała najpierw pokonać ostrą krawędź, zaraz potem grzbiet z osłepiająco jasnego granitu i gładkich łupków.

Sto metrów poniżej miejsca wyznaczonego na odpoczynek Blake zniknął jej z oczu za załomem skalnym. Podciągnęła rękawy swojej koszuli w brązową kratkę, odpięła górne guziki, gdyż spociała się już od wysiłku, i z trudem zaczęła piąć się dalej.

Resztką siłą przrzuciła ciało ponad krawędzią skalną i została w tej pozycji. Ku jej irytacji Blake siedział sobie wygodnie oparty o skałę, jakby zżywał kąpieli słonecznej nad basenem luksusowego hotelu.

- Mógłby mi pan pomóc - wysapała Andrea.

Przyjrzał się jej uważnie, a potem wstał, podszedł do niej i pomógł jej się podnieść. Przez krótką chwilę ciała ich znalazły się tak blisko siebie, że Andrea poczuła przyjemne mrowienie w plecach. Zapragnęła, aby ją pocałował.

Niestety, Blake odsunął się od niej i z rozbawieniem zajrzał jej w oczy. - Co się z panią dzieje, Andreo? Tak dobrze pani szło...

Usiedli oboje pod skałą. Kiedy oddech Andrei uspokoił się wreszcie, sięgnęła do plecaka po prowiant.

- Jednym z poważniejszych problemów alpinistów jest nakłonienie ich do jedzenia - odezwał się Blake. - W miarę pokonywania wysokości ludzie tracą apetyt. U pani jednak to zjawisko nie występuje, jak widzę - uśmiechnął się do dziewczyny konsumującej właśnie z apetytem cząstki pomarańczy.

Wzruszyła ramionami, oblizując palce z masła orzechowego. - No cóż, jestem zdrową kobietą i tyle.

- Jestem tego więcej niż pewien.

Andrea oparła się plecami o skalną ścianę i przymknęła oczy. Odpoczynek połączony z posiłkiem dobrze jej zrobił.

Kiedy otworzyła oczy, zauważyła, że Blake intensywnie wpatruje się w nieodległe grzbiety gór.

- Dlaczego pan to robi, Blake? Dlaczego pan się wspina?

- Wspinam się, bo się wspinam i koniec - odparł szorstko.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Przypomina mi to słowa Hillary'ego, który na pytanie, dlaczego zdobywa Mount Everest, odpowiedział: „bo jest”. Dla niealpinistów jest to kompletnie niezrozumiałe.

- A co chciałaby pani usłyszeć, Andreo? Że pokonywanie gór jest dla mężczyzny środkiem do samorealizacji i że przez to staje się lepszym człowiekiem? Oczywiście przy tej okazji można pogłębić wiedzę o sobie samym. Może jednak nie warto tego robić, bo można dowiedzieć się rzeczy bardzo zaskakujących.

Blake wstał gwałtownie. Najwyraźniej temat rozmowy nie przypadł mu do gustu. - Odpoczęła już pani? - spytał. - Druga część wspinaczki będzie trochę trudniejsza.

Andrea wspinała się na razie spokojnie, mechanicznie naśladowując ruchy Blake'a. Była jeszcze zmęczona, ale niebawem zaczęła się w dodatku bać. Ściana skalna wznosiła się przed nią pod bardzo ostrym kątem.

Usłyszała z góry jakiś metaliczny dźwięk i domyśliła się, że Blake wbił właśnie hak.

- Teraz będzie ciężko - poinformował ją z góry. - Niech się pani przypadkiem nie spieszy i uważa pod nogi. Przeprowadzę panią, proszę się nie bać.

Andrea uświadomiła sobie, że dopóki Blake jest z nią, nie może jej się stać nic złego. Mimo to serce jej biło jak oszalałe.

- Winslow, popełnia pani kardynalny błąd wszystkich początkujących - poinformował ją rzeczowym tonem. - Klei się pani formalnie do ściany. Niechże pani przestanie wreszcie patrzeć w dół. Proszę się odchylić do tyłu - nakazał. - Lina utrzyma pani ciężar.

Zrobiła, co jej polecił, i zamknęła oczy.

- Niech pani tego nie robi - nadal ją strofował. - Proszę natychmiast otworzyć swoje śliczne oczęta i patrzeć, jak stawia pani nogi.

Kierując się wskazówkami Blake'a, Andrea pokonała trudny kawałek płyty skalnej i nadal pięła się w górę. Skoncentrowała się tylko na stawianiu jednej stopy przed drugą. Dotarli na tę wysokość, na której leżał już śnieg. Miejscami sięgał Andrei aż do kolan. Niedługo potem osiągnęli cel... stanęli na szczycie.



Andrzej ogarnęło jakieś dziwne uczucie rozczarowania. Męcząca, kilkugodzinna wspinaczka dobiegła końca, a ich trudu nie wynagrodził nawet widok ze szczytu. Przez jedną krótką chwilę widzieli na zachodzie groźnie wyglądające chmury burzowe i zaraz potem szczyt zatonął we mgle.

Zauważyła niepokój na twarzy Blake'a. - Martwi się pan tymi chmurami?

- Szybko się pani uczy, Winslow - skinął głową. - Jeśli ta ściana chmur będzie się szybko przesuwac, za kilka minut będzie po nas.

Najlepiej będzie, jak zaraz zaczniemy schodzić. Zapomniałem, że to pani pierwsze wejście na szczyt. Powinna pani zostawić tu coś na pamiątkę.

Wyciągnął rękę i końcami palców pogładził ją po policzku. Andrea myślała, że chce ją pocałować albo przynajmniej przytulić, ale w porę zorientowała się, że chodzi mu o jej kolczyk. Zręcznie wyjął go z ucha dziewczyny, po czym zamachał jej przed nosem tą błyskotką. - Zostawimy go tutaj? - spytał.

Kiwnęła głową na znak zgody, wobec tego Blake położył kolczyk pod skalą. Jego nieoczekiwany gest sprawił, że zniecierpliwienie Andrei ulotniło się gdzieś bez śladu. Z ochotą przystąpiła do schodzenia w dół. Blake wybrał wprawdzie łatwiejszą drogę, ale i ona okazała się dla Andrei bardzo trudna. Gęstniejąca mgła znacznie ograniczyła widoczność. Na domiar złego dwie godziny później zaczęło padać.

To wydarzyło się, gdy przekraczali szczególnie zdradziecki grzebień skalny. Andrea potknęła się o wystający okrusz kamienia i przewróciła się. Blake natychmiast podskoczył ku niej. Zatroskany przyjrzał się wykrzywionej bólem twarzy dziewczyny. Uderzyła się w kolano, a uderzenie było tak silne, że teraz jęczała z bólu.

- Cholera jasna! - zaklął i pochylił się, aby obejrzeć ranę. - Przy takiej pogodzie nie powinniśmy ryzykować dalszego zejścia.

Andrea otworzyła oczy szeroko. - Przecież tu nie zostaniemy na noc - zaniepokoiła się.

- Właśnie to miałem na myśli. Wspinam się na ten szczyt od dziesiątego roku życia i znam tu wszystkie zakamarki. Niedaleko stąd jest jaskinia, w której moglibyśmy się schronić przed deszczem - wyjaśnił rzeczowo. Objął ją ramieniem w pasie i pomógł stanąć na nogi. Schodząc na niżej położony występ skalny, opierała się na nim całym swym ciężarem. Kolano bolało ją niemilosiernie. Blake utorował sobie drogę przez kosodrzewinę i wniósł Andrzej do jaskini. Błyskawicznie zebrał chrust i kilka większych gałęzi, aby rozpalic ognisko.

Potem przyjrzał się ponownie kolanu dziewczyny. - Nie jest tak źle, jak myślałem. - Wyjął z plecaka apteczkę, zdezynfekował ranę i nałożył

opatrunek. - Poznała pani na własnej skórze negatywne strony wspinaczki. Najwięcej wypadków zdarza się przy schodzeniu. Alpinieści upajają się zdobyciem szczytu i zapominają o elementarnych środkach ostrożności.

Sięgnął z powrotem do plecaka, w którego wnętrzu znalazł pomarańcze i tabliczkę czekolady. Podzielił zapasy na dwie równe części i w milczeniu zjedli swój skromny posiłek.

- Blake - odezwała się Andrea po chwili - jestem panu bardzo wdzięczna za wskazówki przy pokonywaniu ściany. To było fascynujące przeżycie. Myślę jednak, że za bardzo wcielił się pan w rolę surowego nauczyciela. Jestem zmęczona, obolała i niczego bardziej nie pragnę jak odrobiny serdeczności.

Poruszył się niespokojnie i spojrzał na nią ostro. - Po czułości proszę się zgłosić do Justyna.

Andrea oparła się zniechęcona o kamienną ścianę jaskini. Powinna była wykrzyknąć mu prawdę, ale nie zdobyła się na ten krok.

- Czy pana mama także całowała wszystkie pana zadrapania i skaleczenia, żeby się lepiej goiły? Moja mamusia zawsze tak robiła, gdy byłam dzieckiem.

- Nie - odparł zaskoczony tym nieoczekiwanym pytaniem. - Moja matka osierociła mnie, gdy byłem jeszcze w pieluchach. Ojciec ożenił się powtórnie, kiedy miałem dziewięć lat. Jak pani zapewne zauważyła, stosunki moje i Evelyn nie układają się najlepiej.

Andrea zignorowała sarkazm w jego głosie. - Ja miałam dwa lata, gdy moja mama umarła. Nie pamiętam jej. To ojciec opowiadał mi, jak mnie pocieszała, gdy się przewracałam. Po jej śmierci starał się być dla mnie ojcem i matką jednocześnie. Gładził mnie nieporadnie po głowie, gdy przybiegałam do niego z płaczem. Próbował rozpoznać mnie lekturą pamiętników admirała Nelsona. O rodzicielstwie wiedział tyle, co gorylica urodzona w niewoli. Nie było jeszcze wtedy filmów oświatowych, tak jak teraz... przynajmniej są filmy o małpach w zoo - roześmiała się wesoło.

Zaraziła Blake'a tym śmiechem. Kiedy pochylił się, aby wrzucić do ognia paperek po czekoladzie, zauważyła, że ma czekoladową plamkę na ustach. Wyciągnęła rękę, aby ją wytrzeć.

Pochwycił natychmiast jej dłoń i ucałował jej wnętrze. - Andreo... - szepnął, a jego głos zabrzmiał jak pieszczota.

Spojrzenia ich spotkały się. Blake zwinnym, kocim ruchem znalazł się przy dziewczynie. Zapomniała o bólu w kolanie, gdy zaczął pokrywać jej twarz drobnymi gorącymi pocałunkami.

- Och, Blake - westchnęła, zarzucając mu jedną rękę na szyję, a drugą gładząc jego plecy.

Pocałunki Blake'a stawały się coraz bardziej namiętne. W pewnej chwili położył ją na usłanej igłami pini i skalistej podłodze jaskini i powoli zaczął rozpinać guziki jej koszuli.

Poczuła ciepło jego palców na swej nagiej skórze. Dłoń Blake'a wsunęła się pod stanik dziewczyny, oswobodziła jedną pierś i zaczęła ją ugniatać i masować wprawnymi, pieścizotliwymi ruchami.

Ściągnął z Andrei dzinsy i jego dłonie zaczęły się zapuszczać w niższe rejonny ciała dziewczyny. Całował ją wszędzie w taki sposób, że Andrea nie mogła już ukrywać podniecenia.

- Blake... - szepnęła i przytuliła się do niego najmocniej, jak mogła. Jej szept sprawił, że Blake oprzytomniał. Puścił ją i zerwał się z cichym przekleństwem. Bez słowa wyszedł z jaskini.

Andrea nie mogła zrozumieć, co się stało. Czowała się zraniona i upokorzona. Czy postąpił tak przez wzgląd na brata?

Ogarnął ją gniew na Justina za to, że wmanewrował ją w tak niebezpieczną sytuację. Postanowiła raz na zawsze wyjaśnić, co naprawdę łączy ją z Justinem. Wyszła w ciemność za Blake'em.

Przestało już padać, a na niebie pojawiły się gwiazdy. Dotknęła lekko pleców Blake'a. - Dlaczego mnie zostawiłeś samą? - spytała, ale nie otrzymała odpowiedzi. - Jest coś, o czym ci muszę powiedzieć - zaczęła mimo to. - Justin nie jest i nigdy nie był moim narzeczonym. Przyznaję, że rozmawialiśmy o małżeństwie, ale zrezygnowałam z tego planu w zeszłym tygodniu na werandzie pewnego małego hoteliku.

- Możesz sobie oszczędzić tego wyjaśnienia, Andreo - powiedział Blake nie odwracając się. - Wiedziałem, że nie jesteście zaręczeni. Niechcący podsłuchałem waszą rozmowę na korytarzu.

Słowa te odebrała jak cios prosto w serce. Jeśli wiedział o wszystkim, to czemu zachował się w lak odpychający sposób?

- Nie rozumiem wobec tego... - urwała nagle.

- Nie powinienem iść z tobą w góry, Andreo - odwrócił się wreszcie. - To był błąd. Otwierasz zbyt wiele zamkniętych drzwi.

- Jeśli tak uważasz...

- Nie mam ci już nic więcej do powiedzenia. Wracaj do jaskini i połóż się spać. Dobranoc, Andreo.

## ROZDZIAŁ 5

Dom na zboczu okazał się miłą niespodzianką dla zmęczonych oczu Andrei. Warkot landrovera wywabił z domu panią Everett i pana Wei.

Evelyn zbiegła szybko ze schodów werandy i rzuciła się do Blake'a z wyrzutami. - Doprawdy, Blake, cały dom niepokoi się o ciebie! Chcieliśmy już zawiadomić straż górską... - urwała nagle, ponieważ zauważyła zakrwawione spodnie Andrei.

Blake pomagał jej właśnie wysiąść z samochodu. Pochylił się nad kolanem i przyjrzał mu z uwagą. - Dobrze, już nie krwawi. Myślę, że zakładanie szwów będzie zbyteczne.

Pani Everett zaopiekowała się dziewczyną. - Odprowadzę panią na górę. Proszę nie protestować - dodała, widząc niechętną minę Andrei - w czasie wojny pracowałam jako pielęgniarka i wiem, jak należy obchodzić się z rannymi. Kurs pierwszej pomocy przerobiłam tak gruntownie w praktyce, że może mi pani spokojnie zaufać. Obejrzę tę ranę.

Andrea westchnęła zrezygnowana. Zdaje się, że nie będzie jej dane zaznać samotności, a tak bardzo chciała odpocząć po trudach wspinaczki.

- Proszę się położyć - pani Everett poklepała poduszki i ułożyła je tak, aby „pacjentka” mogła się wygodnie o nie oprzeć plecami. Zdjęła opatrunek założony przez Blake'a, obmacała kolano i sprawnie opatrzyła je na nowo.

- Blake miał rację. Zszywanie nie będzie konieczne. Rana nie jest zbyt głęboka. Zagoi się szybko, jeśli zostanie pani kilka dni w łóżku.

- Dziękuję - Andrea uśmiechnęła się do pani Everett z wdzięcznością.

- Czy mogę z panią chwilę porozmawiać? - spytała Evelyn i nie czekając na odpowiedź, usadowiła się na brzegu łóżka. - Nie wiem, co zaszło między panią i Blake'em podczas nocy, którą spędziliście w górach...

- Pani pasierb i ja jesteśmy dorosłymi ludźmi. Sami ponosimy odpowiedzialność za swoje czyny - przerwała jej Andrea chłodno. - To nie pani sprawa, co między nami zaszło.

- Możliwe - zgodziła się pani Everett potulnie. - Mimo to dziwię się pani. Czy nie zależy pani na opinii przyszłej teściowej?

Znowu to samo! - pomyślała Andrea z niechęcią. Ten Justin wpakował mnie w niezłą kabałę. - Miałam nadzieję - powiedziała głośno - że Justin sam wyprowadzi panią z błędu. Widzę jednak, że to mnie przypadło w udziale wyjaśnienie tego nieporozumienia. Justin... - westchnęła - on zakomunikował państwu, że się pobieramy, bez porozumienia ze mną. Rozważaliśmy wprawdzie taką możliwość, ale oświadczam, że nie mam zamiaru wychodzić za pani syna.

Pani Everett zeszywniała nagle. - Rozumiem. Czy Blake ma coś wspólnego z pani decyzją?

Andrea spojrzała na nią zaskoczona. Widocznie jej uczucia do Blake'a stanowiły publiczną tajemnicę, skoro Evelyn wyciągnęła taki wniosek. - Przyjechałam tu do pracy, która stwarza mi szansę, o jakiej zawsze marzyłam. I to wszystko.

- Oczywiście - Evelyn zwięzła oczy w maleńkie szparki. - Wie pani, zawsze uważałam za ironię losu, że Blake odziedziczył po ojcu urodę, ale żadnej z pozytywnych cech jego charakteru. George, mój świętej pamięci mąż, często karmił Blake'a za jego upodobanie do uprawiania niebezpiecznych sportów. Justin był zawsze rozsądniejszy, miłszy w kontaktach z ludźmi i pogodniejszy.

Andrea stłumiła śmiech. Dwa dni temu pani Everett uważała, że nie jest dość dobra dla jej syna. Teraz, kiedy okazało się, że Andrea nie ma zamiaru go poślubić, wyliczała jej wszystkie jego przymioty.

- George'owi nie podobało się również, że Blake jest takim „miłośnikiem przyrody”, który kolekcjonuje „amerykańskie piękności na długich łądyżkach”. Domyśla się pani zapewne, że bynajmniej nie mówię w tej chwili o różach. Początkowo ojca bawiły te cechy playboya w synu, ale z biegiem czasu młodzieńcze zachowania utrwaliły się u niego w nawyk, a to już był powód do niepokoju dla George'a. Często rozmawiał z Blake'em na ten temat, ale te rozmowy nie odniosły najmniejszego skutku, ani wtedy, ani teraz. Kobiety są dla Blake'a zabawką.

- Czy chce mnie pani ostrzec, abym nie została jego kolejną zabawką, pani Everett? - spytała Andrea z wyraźną kpina.

- Ależ nie, panno Winslow - zapewniła Evelyn pospiesznie. - Chcę pani tylko powiedzieć, że Blake jest zamkniętym w sobie człowiekiem, który nade wszystko ceni samotność. Wątpię, aby udało się pani przedrzeć przez mur, który wznosił wokół siebie.

- Ale dlaczego? - spytała Andrea mimo woli.

Evelyn Everett wzruszyła ramionami. - Dlaczego jest taki nieprzystępny? Nie umiem pani odpowiedzieć na to pytanie. Wiem w każdym razie, że potrafi zaspokajać swoje potrzeby. Dottie Archer powiedziała mi, że widziano go kilka dni temu z jakąś ciemnowłosą pięknoscią...

- Dziękuję pani za opatrzenie mojej rany. - Andrea miała już dosyć towarzystwa Evelyn. - To miło z pani strony.

Pani Everett zrozumiała i podniosła się. - Do widzenia, panno Winslow. Dottie powinna zaraz się tu zjawić. Pojedziemy razem do San Francisco.

Życzę pani szybkiego powrotu do zdrowia. Może się jeszcze kiedyś zobaczymy.

Uściśnęła Andreeę na pozór serdecznie, ale w jej zimnych niebieskich oczach nie było ani ciepła ani współczucia. - Choć, prawdę mówiąc, wątpię w to.

Kiedy Evelyn wyszła z pokoju, Andrea opadła z westchnieniem ulgi na poduszki. Aroganckie uwagi tej kobiety wytrąciły ją z równowagi, a mimo to czuła, że było w nich ziarno prawdy.

Resztę dnia spędziła w łóżku na niespokojnej drzemce. Przez sen dotarło do niej jakieś zamieszanie. Aha, to pewnie przyjaciółka przyjechała po Evelyn. Będzie więc teraz jedynym gościem w domu na wzgórzu. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że Blake nie traktuje jej jak gościa, lecz jak wynajętą pisarkę, jak pracownika, jak Winslow, od której za wysokie wynagrodzenie oczekuje solidnej pracy.

Przez kilka następnych dni prawie nie widziała Blake'a. Często przesiadywała na nasłonecznionym tarasie, aby oszczędzać kolano. Robiła tam sobie notatki z fachowych książek i czasopism z biblioteki Blake'a. Blake udostępnił jej również swój dziennik, ale chciała uzyskać jeszcze od niego kilka wyjaśnień co do treści paru fragmentów. Tymczasem Blake unikał jej, albo tak się jej tylko zdawało.

Wieczory spędzała na lekturze listów babci. Nabierała coraz większej pewności, że istotnie jest do niej podobna z charakteru.

Minęło półtora tygodnia. Blake nadal się nie pokazywał. Słyszała tylko warkot jego landrovera, gdy późno w nocy wracał do domu. Przypomniła sobie słowa Evelyn o ciemnowłosej piękności i zrobiło się jej przykro, chociaż usiłowała sobie wmówić, że to nie jej sprawa i że wcale jej nie interesuje, z kim Blake się spotyka.

Kiedy rana na kolanie zablizniła się, Andrea wróciła do swojego zwyczaju porannego biegania. Przebrana w dres skierowała się na wąską ścieżkę zaczynającą się po południowej stronie domu. Prowadziła ona przez gęsty piniowy las. Wdychając pełną piersią rześkie powietrze poranka, zastanawiała się, co też może porabiać Blake. Ciekawa była, co robi, gdy lato dobiegnie końca i gdy napisze już dla niego książkę. Ona sama nie wyobrażała już sobie powrotu do Everett Industries.

Dziesięć sekund później zetknęła się bezpośrednio z obiektem swoich rozmyślań.

- Dzień dobry, Winslow - rzucił w biegu, nie zwalniając tempa.

- Dzień dobry, panie Everett - odparła lekko kpiącym tonem. Musiała przyspieszyć, aby dorównać mu kroku. Ukradkiem zerknęła na sportową

sylwetkę swego chlebodawcy. Białe szorty odsłaniały muskularne, opalone na brąz nogi. Andreę zafascynowała gra ich mięśni, gdy Blake bez trudu pokonywał stromiznę za stromizną. Pociągała ją witalność tego mężczyzny.

- Kolano jest już w porządku, jak widzę - skostatował.

- Owszem. Jestem gotowa do następnej wspinaczki.

- Nudzi ci się w domu? - spytał, nie patrząc na nią.

- Tego bym nie powiedziała. Cały czas pracuję, aczkolwiek żałuję, że nie mam ciebie pod ręką, żebyś mi wyjaśniał pewne wątpliwości. Gdzie ty spędzasz całe dnie?

- Czy to pytanie ma jakiś związek z książką? - roześmiał się. Andrea zamilkła. Żałowała, że zdradziła się ze swoim niepokojem o niego.

Blake biegł tymczasem coraz szybciej, niemal galopował. Andrea była już bardzo zmęczona, ale nadal trzymała się równo z nim. Ambicja nie pozwoliła jej zrezygnować z dalszego biegu.

Z niesłychanym uczuciem ulgi zatrzymała się przed domem. Blake spojrzał rozbawiony na zaczerwienione policzki swej towarzyszki i rzekł z uśmiechem: - Teraz wreszcie zrozumiałem określenie „szybka dziewczyna”.

## ROZDZIAŁ 6

Wczesnym rankiem następnego dnia Andrea wzięła prysznic i umyła głowę. Narzuciła szlafrok na wilgotne jeszcze ciało. Zaczęła rozczesywać włosy, cały czas rozmyślając o wczorajszym spotkaniu z Blake'em. Jego powściągliwość w stosunku do niej coraz bardziej ją irytowała. Aby przełamać tę dziwną rezerwę, postanowiła nakreślić plan książki i przedstawić go Blake'owi. Zrobiła to wczorajszego wieczoru. Kartkę z planem położyła przy miejscu Blake'a w jadalni.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia. - Proszę wejść, Mario! - zawołała, nie odwracając się.

Ale to nie była Maria, tylko Blake.

- Ach, to ty! - Andrea opuściła rękę ze szcزتką. Uświadomiła sobie ku swojemu wielkiemu niezadowoleniu, że pod szlafrokiem nie miała nic.

Blake zaś przyglądał się jej z podziwem. - Brakowało mi ciebie przy porannym bieganiu - powiedział ciepło.

- Naprawdę? - Andrea odgarnęła włosy gestem, który jej samej wydał się uwodzicielski. - Musieliśmy się rozminąć po drodze.

Nie miała zamiaru mówić mu, że celowo wybrała inną trasę.

- Za ile możesz być gotowa? - spytał. - Zaplanowałem na dzisiaj kolejną wspinaczkę.

- Za chwilę zejdę na dół.

- To świetnie. Proponuję, abyś się ubrała w coś lżejszego i zapakowała niezbędne rzeczy do plecaka. Poześlujemy przez jezioro do ściany, którą sobie dzisiaj obrałem za cel.

A więc jednak szuka mojego towarzystwa, stwierdziła Andrea z satysfakcją, gdy Blake wyszedł z pokoju.

Wkrótce mknęli wąską serpentyną w dół do jeziora. Minęły dopiero dwa tygodnie od dnia, w którym wjeżdżała z Justinem tą samą drogą, tylko wtedy wydawała jej się o wiele dłuższa. Miała wrażenie, że ona sama bardzo się zmieniła przez te dwa tygodnie. Czuła, że stała się innym człowiekiem. Można powiedzieć, że zmiana ta zaczęła się dokonywać już w momencie spotkania Blake'a na werandzie hotelowej.

Blake zaparkował landrovera na niezbyt szerokim pasie lądu wcinającym się w jezioro. Piaszczystą drogą zeszli do Grecian Bay, gdzie cumowały łódki rybackie i eleganckie jachty.

Blake poprowadził Andreę do smukłej żaglówki z napisem „Driftwood”. Wskoczył na pokład i pomógł wejść Andrei, podając jej rękę. Kilka minut



później ślizgali się już po wodach zatoki. Wkrótce otoczył ich bezmiar wód. W oddali majaczyły strome skały i ośnieżone szczyty.

Blake ustawił żaglówkę we właściwym kursie, po czym oddał Andrei ster i zniknął w kabinie. Za chwilę aromat kawy i smażonego boczku przyjemnie poślaskotał nozdrza dziewczyny. W ślad za nim pojawił się na pokładzie Blake niosący tacę z posiłkiem.

- Wiem już, że lubisz sobie podjeść, dlatego też przygotowałem nam małą przekąskę. - Śmiejąc się cicho podał jej talerz z jajkami sadzonymi na boczku, grzanką i cząstkami pomarańczy.

- Ho ho! Nie spodziewałam się aż takich luksusów! - ucieszyła się Andrea. - Ta podróż zaczyna mi się podobać.

- Przypominam, że odbywamy ją nie dla przyjemności. Mam zamiar udzielić ci następnej lekcji w zakresie wspinaczki.

- Bardzo się z tego cieszę, panie profesorze. Będę nadzwyczaj pilną uczennicą.

Zjadła z apetytem śniadanie i pijąc kawę spojrzała na niego spod oka. - Skoro przeszliśmy już do drugiej lekcji, zakładam, że przeczytałeś szkic książki i zaakceptowałeś go.

- Justin ma dobrego nosa do wyszukiwania talentów - mruknął Blake.

- Zaakceptowałeś moją pracę... czy mnie? - chciała wiedzieć. Blake nie odpowiedział. Leniwie podniósł się z miejsca, żeby zebrać

naczynia na tacę. - Przejmiesz znowu ster? - spojrzał na Andreę.

- Nie sprzątaj, Blake. Ja się tym zajmę. Nie może pan tak rozpieszczać swojego pracownika, panie Everett. - Wyjęła mu tacę z ręki i zeszła do kabiny.

Zła była na Blake'a. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego w jednej chwili żartuje z nią, jest miły i sympatyczny, a już w następnej staje się nieprzystępny i chmurny. W końcu to jego książka, do diabła! Czemu więc nie chciał jej pomagać?

Po powrocie na pokład stwierdziła, że Blake'owi bynajmniej nie spieszy się do wytyczonego celu. Żaglówka wpłynęła właśnie do malowniczej zatoki, w której stał ogromny parowiec z wielkim staroświeckim kołem.

- No nie, tego się tutaj nie spodziewałam! - zawołała Andrea z zachwytem. - Parowiec z Mississippi!

- Czemu nie? Sprytni przedsiębiorcy robią wszystko, żeby przyciągnąć turystów. Niedaleko stąd, w Stateside, mamy nawet kasyno gry. Ja osobiście nie jestem zadowolony z tego natłoku atrakcji turystycznych. Robi się hałaśliwie i tłumnie, a ja wolałbym podziwiać ten cudowny krajobraz w ciszy i samotności.

- Są tacy, którzy przedkładają wygodne życie nad sztuczne piętrzenie trudności - powiedziała Andrea.

- Wiem, do czego pijesz, Andreo, ale dla mnie zdobywanie szczytów nie jest sztucznym piętrzeniem trudności, tylko sposobem na życie.

- Utkwił wzrok w ośnieżonych szczytach Crystal Range.

Andrea wyczuła w nim pewne napięcie. - Czy bałeś się kiedyś? - spytała wprost.

- Strach towarzyszy mi przy każdej wspinaczce. Zagrożenie lawiną czy niebezpieczna szczelina w pokrywie lodowca to wystarczające powody, żeby się bać. Czasami pluję sobie w brodę, że znowu wlałem na jakiś szczyt, zwłaszcza wtedy, gdy wiatr szarpie nocą cienki namiot z nylonu i wyje, wyje tak upiornie, że ciarki człowieka przechodzą.

Usiadł obok niej na ławce. Patrzyła na niego zafascynowana. Tak bardzo chciała poznać go bliżej... Wiedziała już, że w jej życiu pojawił się ktoś wyjątkowy.

- Dobrze, że mi o tym nie powiedziałaś, zanim zdobyliśmy Pyramid Peak. Umarłabym pewnie ze strachu. Powiedz mi, Blake, czy prowadziłeś dziennik z każdej wyprawy?

Uśmiechnął się lekko. - W zasadzie tak. Pomagało mi to przezwyciężyć uczucie osamotnienia i strach. Raz zdarzyło się nawet, że długopis mi zamarzył i musiałem go rozgrzewać własnym oddechem.

Andrea wdrygnęła się. - Na twoim miejscu zrezygnowałabym wtedy z notatek.

- Coś podobnego! - roześmiał się Blake. - Myślałem, że wy, pisarze, macie wewnętrzną potrzebę codziennego przelewania swoich myśli na papier.

- Nie mylisz się, Blake. Pisanie mam we krwi. Moja babcia ze strony ojca była powieściopisarką. Niedawno dostałam od ojca jej stare listy. Czytając je pomyślałam, że pisanie biografii mogłoby być dla mnie wielką frajdą. Przy okazji można się tak wiele nauczyć. Dla autora to rodzaj samopoznania. - Poszukała wzroku Blake'a. - Czy ty nie dlatego chcesz stworzyć tę książkę?

- Nie wiem - odparł zamyślony. - Czasami czuję się tak stary jak te góry - wskazał ręką ośnieżone szczyty. - Ta książka może oznaczać dla mnie nowy początek.

Andrea przechyliła się przez reling i zanurzyła palce w lodowatej wodzie.

- To jedyna droga - mówił dalej Blake - aby pozbyć się upiorów z przeszłości.

Wyczuła, że coś go gnębi, gdyż słowom tym towarzyszył źle zamaskowany ból.

- Myślę, że wybrałaś odpowiedni moment, Blake - szepnęła. - Wiosna oznacza zawsze początek życia w przyrodzie. I wiesz, co ci jeszcze powiem? Taki stary człowiek gór potrzebuje czasem terapii szokowej, aby otrząsnąć się ze złych wspomnień. - Nabrała dłonią wody i prysnęła mu w twarz. Roześmiała się głośno na widok jego zaskoczonyj miny.

Blake wstał powoli. Jego oczy rozbłysły podejrzenie. - Ach, ty kocie!

I zanim Andrea zdążyła się zorientować, podniósł ją do góry. - Co chcesz zrobić? - zawołała przestraszona nie na żarty.

- Zobaczmy, jak ty poradzisz sobie z zimnym wstrząsem przy nurkowaniu!

Wczepiła się w niego z całych sił. - Nie, proszę cię, Blake! - jęknęła na poły gniewnie, na poły błagalnie. - Nie wolno tak traktować kobiety!

- Aha, rozumiem. Przywołujesz na pomoc swoją kobiecość wtedy, kiedy ci to pasuje! Może lepiej wlepić ci parę klapsów w pupę niż wyrzucać za pokład?

- Nie odważysz się! - oburzyła się.

- Założymy się? Nie wódź mnie na pokuszenie, Andreo! - ostrzegł. Podniosła na niego oczy. Uświadomiła sobie z całą wyrazistością, że obejmuje go za szyję i przywiera do niego całym ciałem. Zrobiło się jej gorąco.

Blake pochylił się i wykorzystując moment jej wahania, pocałował ją w usta. Był to zupełnie niesłychany pocałunek, pełen namiętności i zarazem czułości. Blake zestawił ją ostrożnie na pokład. Stali tak przytuleni do siebie, poddając się wzajemnej pieśczości rąk i ust.

Puls dziewczyny bił jak szalony. W tej chwili cała była pożądaniem. Najchętniej oddałaby mu się natychmiast, ale pamiętała incydent w jaskini. Nie chciała narażać się na kolejne upokorzenie. Nie mogła pozwolić na to, aby potraktował ją jak zabawkę. Ogromnym wysiłkiem woli oderwała się od niego.

- Blake - szepnęła - czy nie uważasz, że powinniśmy wrócić do pracy?

Powoli uniosł głowę. W jego oczach pojawiła się kpina, nie powiedział jednak nic.

- Po co mnie tu zabrałeś? Chciałeś się ze mną kochać? Nie jesteśmy w sobie zakochani, Blake, więcej, nie jesteśmy nawet przyjaciółmi. Zaangażowałeś mnie do wykonania określonej pracy, którą zamierzam wykonać najlepiej, jak umiem. Nie będę dla ciebie zabawką, którą wyrzucisz, gdy ci się znudzi!

Spojrzał na nią z ukosa. - Mówisz do mnie słowami Evelyn. Ostrzegła cię przede mną, chociaż nic o mnie nie wie.

- O, właśnie! Nikt nic nie wie o tobie, Blake. Czy nie rozumiesz, że muszę cię lepiej poznać, jeśli zależy ci na tej książce? Poznać w ogóle, nie tylko przez kontakty seksualne.

Blake obrzucił ją zagadkowym spojrzeniem. - Wydaje mi się, że się... mnie boisz.

- Nie boję się nikogo, panie Everett! - krzyknęła. Zaraz jednak wydała się sobie śmieszna i uśmiechem pokryła zakłopotanie. - Muszę jednak przyznać, że odczuwam w stosunku do ciebie jakąś niepewność.

- Andreo... - szepnął, wyciągając do niej obie ręce. Nie sposób było nie zauważyć ciepła w jego głosie.

- Nie, Blake - powiedziała stanowczo. - Musimy porozmawiać. Ja po prostu muszę dowiedzieć się o tobie czegoś więcej...

- Czy włączyłaś już magnetofon? - przerwał jej zirytowany.

- Blake... proszę cię - upierała się przy swoim.

Przeszedł na drugą stronę zagłówek i spojrzał na nią z namysłem.

- A cóż ja mam do powiedzenia o sobie? Niewiele ponadto, co znajduje się w dzienniku. Przeczytałaś go już przecież.

- Owszem, ale dałaś mi tylko wybrane fragmenty - odparła. - Muszę wiedzieć wszystko, Blake!

- Nie ma mowy, Andreo - rzekł tonem nie znośnym sprzeciwu. Andrea usiadła zrezygnowana na ławce.

- Proponuję, żebyśmy popłynęli szalupą na ląd. Jestem bardzo głodny - odezwał się Blake po długiej chwili milczenia.

Dziesięć minut później znaleźli się na brzegu. Na ciepłym piasku rozpostarli koc i spałaszowali z apetytem prowiant zabrany z domu, popijając go meksykańskim piwem. Potem wyciągnęli się wygodnie obok siebie. Andrea podparła głowę na łokciu, obserwując Blake'a, który leżał z zamkniętymi oczami.

- Blake - zaczęła - w bibliotece widziałam zdjęcie, na którym stoisz na szczycie z jakimś mężczyzną. Kim jest ten mężczyzna?

Zerwał się gwałtownie i spojrzał na dziewczynę przenikliwie. - Dlaczego o to pytasz?

- Przyglądałam się dość długo tej fotografii i odniosłam wrażenie, że jest między wami jakaś silna więź, tak jakbyście byli braćmi. Najpierw myślałam, że jesteś na zdjęciu z Justinem. - Westchnęła. - Nie jesteście chyba sobie zbyt bliscy?

- Justin... - mruknął niechętnie Blake. - Evelyn wychowała go po swojemu, tak jak przerobiła mojego ojca, gdy wyszła za niego za mąż. Miała mi za złe moją samodzielność, jak również to, że nie dałem się uformować tak, jak chciała. - Przerwał na chwilę, żeby rzucić kamieniem w wodę. - Chciałem się do niego zbliżyć, w końcu przecież jesteśmy braćmi, ale Evelyn zawsze stała między nami. Chroniła go cholera wie, przed czym. Kompletnie uzależniła go od siebie.

- Ja też odniosłam wrażenie, że jest zdominowany przez matkę. Blake zerknął na Andreę spod oka. - Justin przylgnął do ciebie, ponieważ pod delikatną powłoką kobiecości wyczuwa w tobie siłę. Jesteś silną osobowością, Andreo, prawda?

- Wiem, czego chcę, Blake - odpowiedziała. - Czy to właśnie jest moją siłą? Nie wiem. Słuchaj, czy my się jeszcze będziemy wspinać? Czas mija przecież nieubłaganie.

- Nie, Andreo, dzisiejszą lekcję uważam za skończoną. Niedługo później pozełgowali w kierunku kalifornijskiego brzegu jeziora.

## ROZDZIAŁ 7

Następnego popołudnia Andrea przebiegła swoje cztery mile, cały czas myśląc o Blake'u. Wczoraj widziała go tylko przez krótką chwilę, kiedy przyszedł jej powiedzieć, że nie będzie na kolacji.

Myślała też o zmianie, jaka się dokonała w ich stosunkach. Na żaglówce Blake zrobił pierwszy krok, a ona wycofała się.

Andrea musiała przyznać przed samą sobą, że nie zależy jej tylko na przespaniu się z Blake'em, lecz na czymś więcej.

Zwolniła tempo, ponieważ przypomniała sobie nagle, że Blake nie powiedział jej, kim był ten drugi mężczyzna na zdjęciu. Ciekawa była, dlaczego.

Kiedy wróciła do domu, spotkała ją niespodzianka. Na podjazd ujeżdżało właśnie białe BMW.

Podbiegła, żeby przywitać się z Justinem. Wyciągnęła do niego rękę, ale on przyciągnął ją do siebie i ucałował w oba policzki. - Andreo, kochanie, jakże się cieszę, że cię widzę! - zawołał radośnie.

Wysunęła się z jego objęć, dziwiąc się, że nie czuje żadnej radości.

- Wyglądasz wspaniale, skarbie. Widzę, że pobyt w górach posłużył ci - mówił nie zrażony Justin.

- Dziękuję - odparła chłodno. - Co słysząc w firmie?

- Jak na razie wszystko w porządku. Twój podopieczny Hagood nieźle sobie radzi z robotą. Zamierzam zatrudnić go na cały etat, kiedy u przyszłym miesiącu skończy studia.

- Bardzo się z tego cieszę, i ze względu na niego, i ze względu na ciebie.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Justin wyczuł, zdaje się, że stosunek Andrei do niego zmienił się. Spojrzał na ciemny dom.

- Czy Blake jest w domu?

- Chyba nie. Tak myślę, bo miało go nie być na kolacji.

Justin przyjął tę wiadomość z wyraźną ulgą. - To dobrze. Przyjechałem tylko po to, aby porozmawiać z tobą.

- O czym? - zdziwiła się Andrea. - Sądziłam, że wszystko już zostało powiedziane.

- Tak, wiem... szkoda tylko, że tak szybko powiedziałaś mojej matce, że nie jesteśmy zaręczeni.

- Nie miałam innej możliwości - odparła Andrea twardo. - Uciekłeś stąd bez słowa.

Justin uśmiechnął się nieoczekiwanie. - Nie mówmy już o tym, kochanie.

- Ujął ją pod łokieć i poprowadził do domu. Przed drzwiami zatrzymał się. -

Powinnaś wiedzieć, że zawsze możesz wrócić do Everett Industries, jeśli z pracy u Blake'a nie będziesz miała satysfakcji.

Masz na myśli powrót do ciebie, pomyślała Andrea. O, nie, to już zamknięty etap mojego życia. Ta propozycja stanowiła kolejny przykład braku ambicji u Justina.

Weszli do salonu. Justin nalał sobie whisky z wodą sodową. - Masz ochotę na drinka? - odwrócił się do Andrei.

- Nie, dziękuję.

- A może byś się ładnie ubrała i pojechalibyśmy gdzieś na kolację?

- Ciągłe ten sam Justin! - pokręciła głową z rozbawieniem.

- Założę się, że Blake nie pokazał ci jeszcze okolicy.

- Trochę mi pokazał - odpowiedziała, nie wdając się w szczegóły.

- Przebierz się wobec tego i ruszamy. Pojedziemy na drugą stronę jeziora, do Stateside. Przyda ci się jakaś rozrywka.

Andrea stwierdziła, że towarzystwo Justina może być sympatyczniejsze niż samotny wieczór, i przystała na jego propozycję.

Godzinę później siedzieli oboje przy butelce białego wina w restauracji Summit Room, która mieściła się na czarnym piętrze Harrah's Casino. Andrea wyglądała szczególnie pięknie w jedwabnej sukni morskiego koloru, który podkreślał błękit jej oczu.

Widziała podziw we wzroku Justina, słuchała jego komplementów, ale nie przywiązywała do tego wagi. Patrzyła przez okno na tysiące małych światełek odbijających się w wodzie jeziora. Z powodzi świateł wyłowila po chwili latarnie większego statku. Poznała sylwetkę m/s Dixie, parowca z wielkim kołem, który widziała już podczas żeglugi z Blake'em.

Poczuła, że Justin bierze ją za rękę. - Wyglądasz czarująco - powiedział półgłosem.

Wyrwała mu rękę i spojrzała na niego z niechęcią.

- Co się z tobą dzieje, Andreo? Może zakochałaś się w Blake'u? Dziewczyna zmarszczyła czoło. - Och, Justin, wiesz dobrze, dlaczego tu przyjechałam. Ta książka jest dla mnie naprawdę bardzo ważna.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - zdenerwował się. - Matka uważa...

- A jakie znaczenie ma to, co ona uważa, Justin? - przerwała mu gniewnie.

Justin pogrzył się w ponurym milczeniu, wobec czego Andrea uznała za stosowne zmienić temat. Zaczęła opowiadać o postępach w pracy nad książką i o tym, jak spędza czas w górach. Kiedy kelner przyniósł im kawę i po kieliszku brandy, Justin był znowu w dobrym humorze.

- W sąsiedniej sali gra doskonała orkiestra. Może poszlibyśmy potańczyć? - zaproponował, biorąc swoją kartę kredytową ze srebrnej tacy.

- A może poszlibyśmy do kasyna? - Andrea zgłosiła kontrpropozycję. - Nigdy jeszcze nie byłam w kasynie.

- Co?! - wykrzyknął z niedowierzaniem. - Musimy natychmiast naprawić to niedopatrzenie. Chodźmy.

W wielkim salonie gry rozbrzmiewał gwar przytłumionych głosów. Andrea zainteresowała się zielonymi stolikami, przy których grano w karty i kasowano pieniądze.

- Grają w blackjacka - wyjaśniał Justin. - Gra polega na tym. że...

Andrea nie słuchała już jego objaśnień. Przy sąsiednim stoliku zauważyła bowiem charakterystyczny profil Blake'a Everetta. Białe zęby lśniły w opalanej twarzy, gdy z uśmiechem pochylał się nad swą towarzyszką. Przypomniała sobie kąśliwą uwagę Evelyn o „ciemnowłosej piękności”, z jaką widziano jej pasierba. Tym samym wyjaśniły się powody jego długiej nieobecności w domu.

Andrea odwróciła się gwałtownie do Justina. - Na dzisiaj wystarczy. Mam już dość tego kasyna.

- Ależ, kochanie - zaprotestował dobrodusznie. - Nawet jeszcze nie spróbowaliśmy szczęścia.

- Proszę cię, Justin, chodźmy już stąd - błagała.

- Czekaj chwilę, wydaje mi się, że widzę tam mojego brata. Halo, Blake! - zawołał na cały głos, zanim Andrea zdołała mu w tym przeszkodzić.

Trudno, muszę robić dobrą minę do złej gry, postanowiła w duchu. Obaj mężczyźni przywitali się uściskiem dłoni. - Justin, nie znasz chyba jeszcze Giny Sorrent. Gino, to mój młodszy brat. A jego towarzyszka to A. Terrence Winslow, autorka bardzo ceniona w Everett Industries.

Andrea zeszywniała, czując wyraźną kpinę w jego głosie. Kiwnęła głową uprzejmie, ale chłodno.

Bracia wdali się w dyskusję na tematy służbowe, a panie skorzystały z okazji, aby się sobie dokładnie przyjrzeć.

Gina odezwała się pierwsza. - Jak się pani podoba w Tahoe? Nie nudzi się pani?

- Nie - odparła Andrea - jest tu jakaś szczególna atmosfera.

- Naprawdę? - Gina roześmiała się zmysłowo. - Ludzie dzielą się na takich, którzy kochają życie z dala od cywilizacji, oraz na tych, którzy takiego życia nienawidzą. Chociaż... - powiodła wzrokiem po zatłoczonym kasynie - trudno tę okolicę nazwać pustkowiem.



Andrea słuchała dziewczyny z pozorną uwagą, ale tak naprawdę zastanawiała się tylko nad tym, co ją łączy z Blake'em.

Gina wsunęła rękę pod ramię Blake'a. - Obiecałeś, że zatańczymy, Blake. Zapomniałeś już? - uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko.

- Chodźmy potańczyć, a później zapraszam was na drinka - zwrócił się Blake do Justina i Andrei.

Andrea chciała się jakoś wymówić, ale Justin skinął aprobowująco głową i nie wypadało jej mieć innego zdania.

Po kilku tańcach z Justinem zrobiło się jej tak gorąco, że przeprosiła go i wyszła na balkon, aby się trochę ochłodzić. Widok Giny w ramionach Blake'a sprawiał jej ból nie do opisania. A przecież Evelyn Everett ostrzegała ją przed nim! Nazwała go nawet playboyem. Andrea cały czas miała nadzieję, że to nieprawda. Teraz zaś przekonała się na własne oczy, że macocha Blake'a miała rację.

Chciała już wrócić na parkiet, gdy usłyszała czyjeś kroki, a zaraz potem usłyszała dobrze jej znany głos Blake'a. Skryła się za załomem muru, żeby jej nie zauważył.

- W blackjaku szczęście mi dzisiaj dopisało. Pozwól, że dam ci więcej w tym miesiącu, Gino.

Jego towarzyszka odpowiedziała tym swoim zmysłowym śmiechem.

- Blake, wiesz przecież, że mam swoją dumę.

Poszli w drugi koniec balkonu, dzięki czemu Andrei udało się niepostrzeżenie zejść im z oczu. Bała się, że się rozplacze, ale gdy stanęła przed Justinem, była wzorem opanowania.

- Chcę już wracać do domu, Justinie - powiedziała stanowczo.

- Ale przecież umówiliśmy się z Blake'em na drinka!

- Zostań więc, jeśli chcesz. Wezmę taksówkę. Pobiegł za nią do windy. - Czy coś się stało, Andreo?

- Nie, jestem po prostu zmęczona. Potwornie zmęczona.

W milczeniu wrócili do domu. Justin odezwał się dopiero wtedy, gdy zapalał światło nad werandą. - Wróc ze mną do San Francisco, Andreo. Tam jest twoje miejsce, nie tutaj.

- Ale tu mam pracę. Wyjadę stąd, kiedy ją skończę, nie wcześniej.

- Jesteś mi tak bardzo potrzebna, kochanie. Blake ciebie nie potrzebuje, on zresztą nie potrzebuje nikogo.

- Płaci mi, Justinie. Muszę za to wykonać pracę, do której się zobowiązałam i na której, jak wiesz, bardzo mi zależy. - Zaciśnęła zęby przypomniawszy sobie rozmowę na balkonie. - Dobranoc, Justinie. I proszę, nie przejmuj się mną. Poradzę sobie jakoś.

Weszła do domu, zamykając za sobą drzwi. Z ulgą usłyszała warkot silnika. Znaczyło to, że Justin odjechał.

RS

## ROZDZIAŁ 8

Andrea była zbyt wzburzona, aby zasnąć. Wiedziała, że nie ma do Blake'a żadnego prawa, a mimo to czuła się oszukana. Było dla niej jasne, że Gina jest kochanką Blake'a. To pewnie do niej jeździł tak często.

Przez chwilę rozważała, czy nie powinna spakować rzeczy i wyjechać jak najdalej stąd, potem jednak poczucie obowiązku zwyciężyło. Zaangażował ją do napisania książki, ona zaś nie napisała jeszcze ani jednej linijki. Powinna przynajmniej wykonać to, do czego się zobowiązała.

Wzięła teczkę ze wszystkimi materiałami i poszła do gabinetu Bla-ke'a. Postanowiła porządnie zabrać się do roboty. Usiadła przy biurku, zdjęła buty i włożyła czystą kartkę papieru do maszyny.

Pracowała bez wytchnienia, a efekty nie dały na siebie długo czekać. Pierwszy rozdział powoli nabierał kształtów. Andrea nie zauważyła nawet, że czas płynie szybciej niż zazwyczaj. Spojrzała na zegar dopiero wtedy, gdy za oknem wstał świt.

Było już wpół do szóstej, mimo to pracowała jeszcze dwie godziny. Dopiero wtedy poszła do swojego pokoju, rzuciła się na łóżko i zasnęła kamiennym snem.

Kilka godzin później, po krzepiącym odpoczynku, wróciła do przerwanej pracy nad książką. Wyjrawszy przez okno stwierdziła, że landrover nie stoi na swoim miejscu, i zrobiło jej się przykro. Znaczyło to bowiem, że Blake spędził całą noc poza domem.

Andrea nalala sobie kawy z termosu, który jej przyniosła Maria. Przebiegła wzrokiem strony, które zapisała wczoraj, i sięgnęła po kolejną kartkę papieru.

Biedziła się właśnie nad szczególnie trudnym fragmentem z dziennika Blake'a. Zaintrygowała ją wyraźna luka w jego zapiskach. Zniszczył te strony, czy tylko przestał notować...

Wstała wdychając ciężko i podeszła do regału obok okna. Przesunęła palcami po grzbietach książek, przeczytała ich tytuły i w końcu wyciągnęła dwie - obszerne opracowania o wspinaczce. Miała nadzieję, że będą bardziej wyczerpujące niż te, które dał jej Blake. Przy okazji zwróciła uwagę na zużyte notes, stojący za książkami. Postanowiła również go przejrzeć.

Przez długą chwilę przyglądała się grubemu notesowi. Jeszcze zanim go otworzyła, domyśliła się, że to jest właśnie dziennik Blake'a, z którego dał jej do przeczytania tylko wybrane fragmenty. Czemu go tak pieczołowicie schował?

Usiadła na dywanie i zaczęła wertować strony zapisane zdecydowanym charakterem pisma. Doszła do fragmentu, który Blake opuścił.

Było to sprawozdanie ze wspinaczki na Mount Pelvaux, szczyt w Alpach Szwajcarskich. Wyprawę tę Blake zaplanował spontanicznie ze swoim starym przyjacielem Frankiem, którego spotkał w Lucernie. Ponieważ było już po sezonie, mieli niejakie kłopoty ze skompletowaniem czteroosobowej ekipy, ale wreszcie udało im się dokooptować dwóch alpinistów z Australii, którzy gotowi byli podjąć wspólnie z nimi ryzyko wyprawy w góry.

Blake pisał dalej, że od początku dochodziło do spięć między Frankiem i Johnem McWilliamsem, starszym z Australijczyków. Musiał on ciągle występować jako mediator w ich sporach. Frank preferował intuicyjne podejście do wspinaczki, podczas gdy Australijczyk uważał, że w tym sporcie potrzebna jest taktyka i strategia.

Kłócili się coraz zawzięciej. Na domiar złego w pewnej chwili zaczął padać deszcz, który wraz z porywami wiatru bardzo utrudniał każdy krok. Mimo to dotarli na szczyt nieprzyjaznej szwajcarskiej góry.

Doszło tam do kolejnego ostrego konfliktu między Frankiem a Australijczykiem. McWilliams upierał się przy obraniu innej drogi powrotnej ze względu na stale pogarszające się warunki pogodowe, natomiast Frank był zdania, że należy zejść drogą, którą już przebyli.

Przy schodzeniu w dół prowadzenie objął McWilliams ze swoim rodakiem. Po nich schodził Frank, a Blake był ostami na linie. Blake odczuwał gniew Franka przy każdym jego wbiciu czekana w lód. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego przyjaciel nie jest odpowiednio skoncentrowany. Chciał go właśnie ostrzec, kiedy to się stało.

Zobaczył jeszcze przyjaciela, jak wbija haki w lód, a potem nagle Frank zniknął mu z oczu. Żaden dźwięk nie potwierdził jego odpadnięcia od skały, a jednak złe przecucie ani na chwilę nie opuściło Blake'a, gdy podciągał linę do góry, aby go uratować. Było już za późno. Przy upadku Frank zerwał linę asekuracyjną, złamał sobie kark i zginął na miejscu.

Mój Boże, dlaczego mnie to nie spotkało, pisał Blake w swoim dzienniku. Reggie to zabije. Nigdy mi nie wybaczy. On był mi bliższy niż mój własny brat. Żałuję, że to nie ja. Nie miałem żony, która czekała na mnie w domu... ani dzieci, tak bardzo przywiązanych do ojca.

Blake nie napisał nic więcej o tej nieszczęśliwej wyprawie. Ze ściśniętym gardłem Andrea wertowała kolejne strony. Dopiero po kilku tygodniach, sądząc z daty, natrafiła na kilka zdań dotyczących tej samej sprawy.

Spełniły się moje najgorsze oczekiwania. Ten niespodziewany cios załamał ją. Fizycznie wróciła już do normy, zaczęła jeść i czasami uda jej

się nawet trochę zdrzemnąć, ale psychicznie... Najgorsze jest to, że nie obarcza mnie winą. Ale ja i tak widzę, jak cierpi. Nie mogę tego znieść. Pozwoliłem Frankowi umrzeć i przeze mnie umarła jakaś część Reggie.

Andrea zadrzała mimo ciepłego powietrza napływającego przez otwarte okno. Przypomniła sobie słowo po słowie wszystkie rozmowy, jakie toczyła z Blake'em. Przypomniła sobie, jak powiedział, że dla niektórych wspinanie się jest sposobem na życie. Nie powiedział jednak o drugiej stronie medalu, o śmiertelnym zagrożeniu, jakie niesie ze sobą ten sport. Teraz zrozumiała te dziwne chwile jego głębokiej zadumy. Postanowiła, że nakłoni Blake'a do pokazania jej całego dziennika. Nie chciała potajemnie korzystać z jego fragmentów.

- Co ty tu robisz, do cholery! - zawołał Blake od drzwi. Zerwała się z podłogi i stanęła z nim twarzą w twarz, przyciskając notes do piersi jak tarczę. Ta obronna pozycja nie na wiele jej się zdała, bowiem Blake wyszarpnął jej notes z rąk jednym silnym ruchem. - Jesteś pozbawiona wszelkich skrupułów, zupełnie jak reporterzy prasy brukowej!

Andreę ogarnęło spóźnione poczucie winy. Zaczerwieniła się aż po korzonki włosów. Przejęta tą sytuacją, nie zdołała wykrztusić niczego na swoje usprawiedliwienie.

- Powiedziałem ci już raz, że nie płacę ci za węszenie!

- Płacisz mi jednak za to, abym zrobiła coś wartościowego z tych twoich chaotycznych notatek! - przemówiła wreszcie. - Poza tym przestań wreszcie mówić o płaceniu. Przypominasz mi o tym na każdym kroku! Wiem, że płacisz swoim kobietom wysokie honoraria.

- O co ci chodzi?

- Czy mam się wyrazić jaśniej? Nigdy nie zyskasz przyjaciół, jeśli będziesz się otaczał ludźmi, którzy robią coś dla ciebie tylko za pieniądze, a nie z rzeczywistej potrzeby serca. Nie wszystko i nie wszystkich da się kupić, Blake.

- Jesteś małym aroganckim potworem - krzyknął Blake z twarzą ściągniętą gniewem. - Dlaczego spychasz mnie do defensywy? Przecież to ty dopuściłaś się czegoś paskudnego! Weszłaś z butami w najbardziej prywatną sferę mego życia!

Urwał i spojrzał na nią z bólem. - Sądziłem, że będę ci mógł zaufać, Andreo - powiedział smutno. - Teraz widzę, jak bardzo się pomyliłem.

Słowa te trafiły Andreę prosto w serce. - Zaufanie! Pojęcia nie masz, co to słowo znaczy! - zawołała dotknięta. - Równie mało wiesz o uczuciach! To wszystko, co zdarzyło się cztery lata temu, jeszcze w tobie tkwi. - Wskazała głową fotografie. - To Frank jest na tym zdjęciu z tobą na

szczyście, prawda? Młodszy brat, którym Justin nigdy dla ciebie nie był. Nie jesteś winien jego śmierci, ale sam się powoli zabijasz. Jesteś z kamienia. Blake.

Obrzucił ją ponurym spojrzeniem. - Zawsze mówisz to, co myślisz, tak? - spytał nader uprzejmym tonem, ale jego oczy pozostały nadal zimne. - Kiedyś określiłem cię jako tajemniczą kobietę z klasą, ale teraz widzę, że nie jesteś ani tajemnicza, ani subtelna. A ponieważ wspomniałaś coś o wysokich honorariach, to wyjaśnijmy od razu tę kwestię.

Wyjął z szuflady biurka książeczkę czekową, wypisał jakąś sumę i podpisał się. Podszedł do Andrei i wetknął jej czek za pasek od spodni. - Weź to, Winslow. Myślę, że potraktujesz to jako stosowne odszkodowanie.

- Czy dobrze rozumiem, że mnie zwalniasz? - spytała chłodno.

- Nazwij to sobie, jak chcesz - odparł obojętnie. - Pan Wei odwiezie cię do Tahoe City. - Wyjął z portfela banknot pięćdziesięciodolarowy.

- Powinno ci to wystarczyć na wynajęcie samochodu do San Francisco. Andrea odwróciła się wzgardliwie plecami. Była już prawie za drzwiami, gdy spojrzała jeszcze raz przez ramię na Blake'a.

- Jeśli cię to interesuje, to na twoim biurku leżą cztery ukończone rozdziały książki. Zrób sobie z nimi, co chcesz. Zegnaj, Blake.

## ROZDZIAŁ 9

Po powrocie do San Francisco Andrea rzuciła się w wir pracy. Przekopała strych w poszukiwaniu dalszych listów babci Gillie. Długie godziny spędzała na rozmowach z ojcem, od którego starała się wyciągnąć jak najwięcej informacji o jego matce. Zamierzała napisać biografię Gillie.

Pracą chciała zagłuszyć ból spowodowany niespodziewanym i bardzo przykrym rozstaniem z Blake'em. Oboje powiedzieli rzeczy, których nie można było wybaczyć. Andrea żałowała teraz, że przeczytała dziennik Blake'a bez jego zezwolenia. Przez swą ciekawość straciła jego zaufanie.

Robiła, co mogła, aby uciec od dręczących ją wspomnień. We wtorkowy ranek wróciła z biegania i natychmiast zakasała rękawy do roboty. Przebrała się w najstarsze polatane dżinsy i przedpotopową koszulę ojca, a włosy związała w koński ogon zwykłą gumką-recepturką.

Do dziesiątej wysprzątała cały dom. Wszystko dokoła aż lśniło czystością. Andrea, dumna z siebie, postanowiła jeszcze umyć swojego żółtego garbusa.

Tania Miskowa wyszła do ogrodu polać węzem swoje klomby. Obie panie wdały się w ożywioną pogawędkę.

W pewnym momencie Tania urwała nagle. - Lepiej będzie, jak pójde już do siebie. Masz gości.

Andrea spojrzała na ulicę. O mało nie zemdląła zobaczywszy czerwonego avanti, który zatrzymał się na jej podjeździe. Zaraz też spostrzegła, że Blake nie przyjechał sam. Pomógł właśnie wysiąść z samochodu wysokiej atrakcyjnej kobiecie o rudych włosach. Natychmiast przypomniały jej się słowa Evelyn o upodobaniu Blake'a do „amerykańskich piękności o długich łodyżkach”.

Słowa te dodały jej ducha. Poradzi sobie jakoś z tą nieoczekiwaną sytuacją! Z wysoko uniesioną głową wyszła na spotkanie gości.

Blake nie uśmiechnął się nawet, skinął tylko lekko głową. - Halo, Andreo - powiedział uprzejmie. - Chciałbym ci przedstawić Karłę Ames. Karla jest redaktorem naczelnym Jamesom - McPhee Publishing Company w Berkeley.

Andrea wytarła rękę w ścierkę, którą jeszcze trzymała, i podała dłoń Karli. Zauważyła rozbawione spojrzenie, które rudowłosa redaktorka rzuciła Blake'owi. Zaprosiła gości do domu.

W dużym holu spotkali Ellisona Winsłowa, który, wspierając się na lasce, wychodził właśnie ze swojego pokoju.

- Tatusiu, chciałabym ci przedstawić moich gości. Karla Ames i Blake Everett, brat Justina.

Andreę zaskoczyła reakcja ojca. Zlustrował Blake'a spod przymrużonych oczu, jakby od razu na wstępie chciał mu dać do zrozumienia, że go nie akceptuje, chociaż wcale go przecież nie znał.

- Nie jest pan podobny do Justina - stwierdził.

- Nie - odparł krótko Blake.

- Napijesz się z nami herbaty, tatusiu? - spytała Andrea.

- Nie, dziękuję. Nie będę wam przeszkadzał, zwłaszcza że czytam teraz pasjonujący opis zwycięstwa Nelsona nad flotą francuską.

Andrea wprowadziła gości do salonu, sama zaś poszła do kuchni, nastawiła wodę na herbatę i wysypała ciasteczka na patelnię. Kiedy zerknęła w lustro, okazało się, że ma dwie brudne plamki, jednana nosie, a drugą na czole. Aha, to pewnie te plamki tak rozbawiły Karłę, pomyślała. Ciekawe, po co Blake ją tu przywiózł. Ich nagły przyjazd musiał mieć jakiś związek z książką.

Pięć minut później Andrea wkroczyła do salonu z tacą, na której ustawiła dzbanek z herbatą, filiżanki, cukierniczkę, dzbanuszek z mlekiem oraz ciastka.

Nalała gościom herbaty, usiadła ze swoją filiżanką w fotelu i czekała na wyjaśnienie powodu wizyty.

Karla Ames jako pierwsza przerwała ciszę. - Przeczytaliśmy cztery pierwsze rozdziały książki, które zostawiła pani Blake'owi - przystąpiła od razu do rzeczy. - Muszę powiedzieć, że zrobiły na nas kolosalne wrażenie. Pani pisarstwo ma ogromną siłę wyrazu, dysponuje pani własnym oryginalnym stylem i niesłychanym bogactwem wyobraźni. Można by pomyśleć, że zna pani Blake'a od małego.

Karla uśmiechnęła się do Andrei, ale ona nie dała się zwieść temu uśmiechowi, wyczuła bowiem w głosie redaktorki coś na kształt zawiści. Ciekawe, o co jej chodzi, pomyślała. O mnie czy o Blake'a?

- Przyjechaliśmy poprosić panią o napisanie tej książki do końca - mówiła dalej Karla.

Andrea spojrzała uważnie na Blake'a. - Czy to jest także twoim życzeniem?

Odstawił gwałtownie filiżankę na stół i wychylił się z fotela. - Wiesz cholernie dobrze, jakie to dla mnie ważne - burknął.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - odparła swobodnie. Mierzyli się wzrokiem w milczeniu, aż Karla uznała za konieczne wtrącić się do rozmowy. - Andreo, ta książka jest dla pani niepowtarzalną szansą. Wielu



ludzi zabiera się za pisanie książek, ale tylko niewielu odnosi na tym polu sukcesy.

Andrea przeniosła wzrok na redaktorę. - Zaczęłam właśnie pracować nad własną książką. Będzie to biografia mojej babci - wyjaśniła chłodno.

- Zapewne słyszała pani o niej. To Gilberta Winslow.

Karla odchrząknęła. - Przypuszczam, że będzie to dla pani osobista satysfakcja, ale musi pani wiedzieć, że biografia mało znaczącej powieściopisarki nie przyniesie pani zbyt wielkiego zysku.

Popatrzyła na meble pamiętające lepsze czasy, chcąc dać Andrei do zrozumienia, że pora już je wymienić. Potem prześliznęła się wzrokiem po roboczym ubraniu dziewczyny. - Blake; może nie będzie tak uparta, kiedy podwyższysz jej honorarium?

- Pieniądze nie mają z moją decyzją nic wspólnego - zaprotestowała ostro Andrea.

Wstała, uważając wizytę za zakończoną. - Przemyślę prośbę państwa, ale niczego więcej nie mogę obiecywać - powiedziała na pożegnanie.

Jeszcze długo po odejściu gości Andrea myślała o rozmowie, którą z nią przeprowadzili. Bardzo ucieszyły ją pochwały dotyczące jej stylu i sama prośba o kontynuowanie pracy nad książką. Poczuli się doceniona i usatysfakcjonowana. Jej radość przyćmiewał tylko fakt, że słowa pochwały wyszły od Karli, nie od Blake'a. On milczał prawie przez cały czas.

Pojęła nagle, że to Karla namówiła Blake'a do przyjazdu do niej. On zaś przystał na tę propozycję nie dlatego, żeby ją odzyskać, a dlatego, żeby dokończyła pisanie książki.

Andrea w jednej chwili podjęła decyzję. Nie będzie dla Blake'a instrumentem służącym jedynie do zaspokajania jego celów. Niech sobie poszuka innego pisarza-murzyna. Spojrzała na wizytówkę, którą Karla dała jej przy pożegnaniu. Zadzwoń do niej jutro i powie, że nie jest zainteresowana dalszą współpracą z panem Everettem.

Na obiad zjadła niewiele, ponieważ niedługo miała pójść na lekcję baletu, a wiedziała, że ćwiczenie z pełnym żołądkiem jest szalenie niezdrowe.

Wyjazd w góry do Blake'a spowodował automatyczne przerwanie ćwiczeń i dziś Andrea miała pewne kłopoty z dostosowaniem się do wskazówek nauczycielki. Postanowiła intensywnie nadrobić stracony czas.

Po zajęciach ubrała się w fartuchową spódnicę i zarzuciła na kostium gimnastyczny ciepły beżowy szal. Mgła przesłoniła ulicę upiorną bielą. Kiedy Andrea skierowała się do swojego samochodu, zauważyła w świetle

latarni ulicznej jakąś sylwetkę, która szybko zbliżała się do niej. Serce jej zamarało.

Strach ustąpił dopiero wtedy, gdy rozpoznała znajome rysy.

- Jak mnie tu znalazłeś? - spytała Blake'a, zaskoczona.

- Bytem u ciebie w domu, żeby ci to oddać - pokazał jej parę beżowych sandałów na wysokich obcasach. - Zostawiłaś je pod biurkiem w moim gabinecie. - Na jego wargach pojawił się uśmiech. - Twój ojciec powiedział mi, gdzie jesteś. Zdaje mi się, że on nie bardzo mnie lubi.

- On cię... po prostu nie zna - odparła Andrea, pakując sandały do torby z różowymi baletkami.

- Pójdziemy gdzieś na drinka, Andreo?

Zawahała się przez chwilę. - Chętnie napiłabym się cappuccino. Za rogiem jest kawiarnia.

Pięć minut później siedzieli naprzeciwko siebie przy małym stoliku.

- W domu jest pusto bez ciebie - zauważył Blake.

- Naprawdę? - zdziwiła się dziewczyna. - Ciekawe, że to spostrzegłeś.

Przecież prawie nie przebywałeś w domu.

Wytrzymał jej spojrzenie i zakamuflowaną krytykę bez mrugnięcia okiem. - Musiałem pobyć trochę sam - odparł tylko.

Chciała już zapytać go, czy potrzebę samotności umiał sobie towarzyszyć Giny Sorrenti, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. - Rozumiem to. Ja też czasami lubię być sama.

- Czy to poważna sprawa z tą biografią twojej babki? - spytał Blake.

- Bardzo poważna. Długo zastanawiałam się nad swoim życiem i stwierdziłam, że najpierw muszę wrócić do korzeni.

- Andreo, nie przyjechałem do ciebie po to tylko, aby namawiać cię do kontynuacji mojej książki. - Andrea wyczuła, że Blake'owi słowa te nie przyszły łatwo.

- Więc po co? - spytała, patrząc mu prosto w oczy.

- Brakowało mi naszych utarczek słownych - uśmiechnął się. - Maria i pan Wei nie mogą nigdy zapomnieć, że jestem ich chlebodawcą, i wolą schodzić mi z drogi.

- Aha - roześmiała się Andrea. - Brakowało ci po prostu kogoś do kłótni!

- Ale nie tylko... - Oczy Blake'a nabrały miękkiego wyrazu. - Sprawiałaś, że czułem się przy tobie mężczyzną.

Dziewczyna spuściła oczy zmieszana. Zaczerwieniła się mimo woli. A więc nie była mu obojętna!

Na wszelki wypadek zmieniła temat. - Powinnam cię chyba przeprosić za to, że wzięłam twój dziennik do czytania bez twojej wiedzy i twojego zezwolenia. Miałeś prawo rozgniewać się na mnie.

- No, no, pierwszy raz zdarzyło się, że przyznałaś się do błędu.

- Nie uważam lektury dziennika za błąd. Postąpiłam jednak źle, nic pytając cię o zgodę. Już dawno powinienes być mi pokazać swoje kompletne zapiski.

Teraz on zmienił temat. - Drugim powodem moich wieczornych odwiedzin jest to, że chciałbym cię zaprosić na przyjęcie, które wydadę w przyszłym tygodniu w moim apartamencie w Russian Hill. Będzie na min Karla i jeszcze inni goście, których znasz.

- Chciałam właśnie zadzwonić jutro do Karli i przedstawić jej swoją decyzję co do dalszej pracy nad książką.

Andrea czekała w napięciu, że Blake zapyta, jak brzmi jej decyzja, ale on milczał jak zakłęty.

RS

## ROZDZIAŁ 10

Pięć po ósmej Andréa zadzwoniła do drzwi domu w Russian Hill. Starannie wygładziła fałdki głęboko wyciętej sukni w lawendowym kolorze. Wiedziała, że bardzo jej do twarzy w tym odcieniu, a krój sukni podkreślał jej szczupłą talię i okazały biust.

Nacisnęła po raz drugi przycisk dzwonka, ponieważ Blake nie spieszył się z otwarciem. Za chwilę stanął w drzwiach gospodarz.

- Teraz wyglądasz znowu tajemniczo i z klasą - uśmiechnął się na jej widok. - Ta suknia jest po prostu przepiękna.

- Dziękuję - odparła Andréa wchodząc do salonu. Zdziwiło ją, że jest w nim ciemno i pusto. Obrzuciła Blake'a podejrzliwym spojrzeniem.

Zrozumiał je i natychmiast wybuchnął śmiechem. - Nie bój się, Winslow. Przyjęcie nie jest pretekstem do zwabienia cię tutaj. Goście przyjdą za godzinę. Zaprosiłem cię wcześniej, ponieważ liczę na twoją pomoc w kuchni.

Andréa dopiero teraz zauważyła, że Blake ma zawinięte rękawy i mączny pył na brodzie. - Nie wiedziałam, że umiesz także gotować.

- Bo nie umiem. Czekałem na ciebie jak na zbawienie. Zaprowadził Andree do kuchni, zdjął fartuch z wieszaka i zawiązał go jej w talii. - Chciałem upiec ciasto, ale chyba przeliczyłem się z siłami. Jedyne potrawy, jakie do tej pory gotowałem, pochodziły z puszek - mojego stałego prowiantu na wyprawach górskich. Wrzucało się puszkę do garnka, podgrzewało i już.

- Wiesz co? Możemy posmarować krakersy masłem orzechowym, które zostało z naszej ostatniej wyprawy, i podać gościom. Albo postawmy wszystko na stole i niech się sami obsługują.

Blake spojrział na nią z ukosa. - Ty masz pomysły, Winslow! Nic miałem pojęcia, że jesteś taka praktyczna.

Przekomarzając się i dowcipkując wzięli się do roboty. Andrea zrećnie ułożyła pokrojoną w plasterki wędlinę na półmiskach, w mig wyczarowała kilka kolorowych sałatek, a na koniec zrobiła jeszcze koreczki z sera, oliwek i winogron. Na ciepło zaproponowała cukinię zapiekaną we francuskim cieście, co Blake przyjął z wyraźnym zadowoleniem, gdyż była to jego ulubiona potrawa. Andrea wyjęła ciasto z zamrażalnika, ułożyła na nim plasterki cukinii, zwinęła wszystko w zgrabny rulonik i wsunęła do piecyka w nasmarowanej tłuszczem brytfannie.

Potem zaczęła wynosić półmiski z przystawkami do salonu. Przy okazji rozejrzała się po domu Blake'a. Był on urządzony niemal tak samo jak jego

górska siedziba. Widocznie Blake musiał wszędzie otaczać się tym, co lubił. Przez okna salonu dostrzegła basen z podwodnym oświetleniem. Pomyślała z lekką zawiścią, że zawsze marzyła o basenie w ogrodzie.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi, a zaraz potem głos Blake'a:

- Andreo, czy mogłabyś otworzyć? Mam brudne ręce. Pospieszyła do drzwi. - Halo, Andreo, cóż za niespodzianka! - zawołała Karla z przesadną uprzejmością. U jej boku stał jakiś nieznajomy.

- Myślałam, że zrezygnowała już pani z dalszej pracy dla Blake'a.

- Karla zmierzyła Andreego niemal wrogim wzrokiem. - Widzę jednak, że z entuzjazmem zbiera pani mniej oficjalne informacje o swoim niedawnym szefie.

- Miło, że pani to zauważyła! - odburknęła Andrea, zła za tę aluzję.

- Nie miałam pojęcia, że to należy do obowiązków redaktorki. - I zanim Karla zdążyła coś odpowiedzieć, wyciągnęła rękę do jej towarzysza i przedstawiła mu się. - Dzień dobry, jestem Andrea Winslow.

- Martin Jameson.

- Czy pan jest właścicielem Jameson McPhee Publishing? - spytała zaciekawiona.

- Nie - odparł z uśmiechem. - To mój stryj założył tę firmę. A ja stanowiąc żywy dowód na to, że więzy rodzinne są ważniejsze niż talent.

Andrei spodobała się ta odpowiedź i sympatyczny uśmiech krępowego siwowłosego mężczyzny.

- Przestań, Martin - wtrąciła się Karla. - Jest dyrektorem naszego wydawnictwa i świetnie sobie ze wszystkim radzi. Cierpi po prostu na nadmiar skromności - wyjaśniła Andrei.

Przerwali rozmowę, ponieważ dołączył do nich Blake, który wyszedł powitać gości. Pomógł Karli zdjąć futro, za co odwdzińczyła mu się pocałunkiem w policzek. Ubrana była w obcisły zielony kombinezon z surowego jedwabiu. Andrea wyczuła, że Karla należy do kobiet, które chętnie spychają inne przedstawicielki swojej płci w cień, koncentrując na sobie zainteresowanie mężczyzn. Mimo to nie mogła powiedzieć, że jej nie lubi. W końcu obsypała ją i jej pisarstwo licznymi komplementami. Poza tym odniosła wrażenie, że rudowłosa nie jest jej rywalką, jeśli chodzi o względy Blake'a.

Blake zaprosił gości do salonu i zaraz wrócił do drzwi, ponieważ dzwonek odezwał się ponownie. Nowymi gośćmi okazali się, ku wielkiej radości Andrei, Jim i Lucinda Hardesty, którzy wrócili właśnie z podróży poślubnej do Meksyku.

Lucinda rzuciła się natychmiast Andrei na szyję. - Wyglądasz cudownie, Andreo! Co porabiałas przez te cztery tygodnie? A gdzie jest Justin? - zasypała ją pytaniami.

Andrea odciągnęła ją na bok, korzystając z chwilowego zamieszania.

- Wiesz... Justin i ja... nie jesteśmy już razem. Blake wspomniał, że jego brat jest w podróży służbowej. Teraz pracuję dla Blake'a.

- Zaskakujesz mnie, Andreo - Lucinda zmrużyła swoje brązowe oczy. - Czy to znaczy, że koniec ze wspólnymi kawkami i pogaduszkami przy pączkach? - zmartwiła się świeżo upieczona mężatka, która pracowała przy przetwarzaniu danych w Everett Industries.

- Obawiam się, że tak, Lucindo. Nie wrócę już do firmy. Wrócić musimy natomiast do gości, bo nie wypada nam tak szeptać w kącie.

Salon wypełnił się tymczasem nowymi gośćmi. Obowiązki gospodarza wymagały od Blake'a zajmowania się wszystkimi gośćmi, znalazł jednak czas. aby podejść również do Andrei. Podziękował jej za pomoc w przygotowaniu bufetu. Zauważył, że dziewczyna nie ma żadnego drinka. - Przyniosę ci kieliszek białego wina - zaproponował.

- Wytrawnego - uzupełniła Andrea.

- Wiem, wiem, zdążyłem już poznać twoje upodobania.

- Robisz postępy. Blake - uśmiechnęła się, podnosząc kieliszek do ust.

Akurat ktoś podszedł do Blake'a, więc skierowała się w stronę bufetu. Natknęła się tam na Jerry'ego Hagooda. Pogadali przez chwilę o sprawach redakcyjnych. W pewnej chwili Andrea zauważyła, że Martin Jameson siedzi sam, postanowiła więc dotrzymać mu towarzystwa. - Widzę, że pana kieliszek jest pusty. Co panu nalać?

- Właściwie miałem zamiar sam się obsłużyć. Chodźmy wobec tego razem do baru.

Martin przygotował sobie drinka z wódki i soku grapefruitowego, po czym zwrócił się do dziewczyny: - Nalać pani wina?

- Nie, dziękuję, mam jeszcze trochę, a poza tym chciałabym na tym poprzestać. Wstałam dziś o szóstej rano i jeśli wypiję więcej, to istnieje poważne niebezpieczeństwo, że zwinę się w kłębek na dywanie i zasnę.

Martin spojrzął na etykietę wina stojącego w kubełku z lodem i gwizdnął cicho przez zęby. - Co do win Blake ma wyszukany smak, muszę przyznać. Musi być wielkim znawcą, skoro zdecydował się na ten rocznik, który oprócz niepowtarzalnego smaku ma i tę właściwość, że jest piekielnie drogi.

Andrea uciekła wzrokiem w bok. Dobrze wiedziała, że Blake preferuje szkocką whisky, wiedziała również, że zna jej upodobania do białych wytrawnych win. Czyżby kupił to wino specjalnie dla niej?

- Montrachet, bo tak się nazywa to wino, trzeba leżakować w piwnicy i obracać co jakiś czas. Sprzedaje się je tylko w ekskluzywnych sklepach i tylko na tuziny. Blake musiał wydać na nie majątek - mówił dalej Martin.

Nagle przyjrzał się Andrei uważnie. - Karla pokazała mi rozdziały, które napisała pani dla Blake'a. Jestem pod wrażeniem pani niewątpliwego talentu, Andreo.

Dziewczyna zarumieniła się z radości. - Miło mi. Ten temat zafascynował mnie.

- Karla wspomniała również, że pisze pani teraz biografię swojej babki Gilberty Winslow, prawda?

- Tak - kiwnęła głową Andrea. - Nie przypuszczam, żeby pan coś o niej słyszał.

- Wręcz przeciwnie. Znam wszystkie jej powieści. Wniosła niezwykle wartościowy wkład do literatury amerykańskiej.

- Cieszę się, że pan to mówi. Karla była zdania, że biografia „mało znaczącej powieściopisarki” nie przyniesie mi żadnych pieniędzy.

Martin skrzywił się. - Karla jest nie tylko redaktorką, bardzo dobrą zresztą, ale również kobietą praktyczną. Miała zapewne na myśli konwencjonalną biografię, suche fakty, poparte datami. - Martin wziął ją pod łokieć i zaprowadził w róg salonu, gdzie stały dwa fotele. - A nie myślała pani o powieści biograficznej? Sądzę, że ma pani dość wyobraźni i talentu, aby ciekawie opisać romantyczne, pełne burz i niepokoїв życie Gilberty Winslow.

Andrea zaniemówiła. - To... fantastyczny pomysł. Nie wiem, jak panu dziękować...

- Proszę wpaść do mnie do wydawnictwa, kiedy skończy pani książkę o wspinaczkach.

- Czy dokończenie książki jest warunkiem koniecznym? - spytała podejrzliwie.

- Oczywiście, że nie - zapewnił ją z rozbawieniem. - To pani osobista sprawa. Nie wywieramy aż takiego nacisku na pisarzy.

- Czy dobrze zna pan Blake'a?

- Spotkałem go raz czy dwa w wydawnictwie. Byłem nawet nieco zaskoczony tym dzisiejszym zaproszeniem, ale także ucieszony. To fascynujący człowiek. Nie mówię pewnie nic nowego dla pani.

- Ma pan rację. Z całą pewnością jest z niego nietuzinkowy mężczyzna.

Od strony basenu dobiegł nagle plusk wody i rozbawione okrzyki. Część gości przebrała się w stroje kąpielowe i rozgrywała właśnie mecz piłki

wodnej. Blake był wśród nich. Andrea natychmiast poznała jego zgrabną, wysportowaną sylwetkę.

Martin zaproponował, aby poszli pokibicować drużynie Blake'a. Na zewnątrz było jednak tak zimno, że Andrea musiała wrócić po szal.

Po drodze do garderoby zauważyła, że w gabinecie Blake'a pali się mała lampka. Weszła tam, zamknęła za sobą drzwi i usiadła na wygodnej kanapie. Chciała spokojnie o wszystkim pomyśleć. Sprawa z winem i zaproszeniem Martina na przyjęcie zaintrygowała ją. Czy Blake zrobił to wszystko dla niej? Przymknęła oczy zmęczona. Miała za sobą długi i wyczerpujący dzień.

RS



## ROZDZIAŁ 11

Poczuła dotyk czyjejs ręki na swoim ramieniu. Otworzyła oczy przestraszona. Blake stał nad nią i przyglądał się jej z pobłażliwym uśmiechem. Andrea zerwała się na równe nogi. Przez szpary w żaluzjach wpadało już jasne światło dnia.

- Coś takiego przydarzyło mi się po raz pierwszy w życiu. Nie miałem pojęcia, że piękna kobieta nocuje w moim domu. Myślałem, że ulotniłaś się po angielsku.

Andrea zaczerwieniła się zakłopotana. - Nad basenem było mi za zimno, wróciłam więc po szal. Chciałam tylko przez chwilkę odpocząć. Sama nie wiem, jak to się stało, że zasnęłam. Przepraszam cię, Blake.

- Nie musisz mnie przeproszać, Andreo. Powiedziałem ci już, że brakowało mi ciebie w domu. Co powiesz na poranny spacer po Chińskiej Dzielnicy?

- Świetny pomysł. Bardzo lubię tam chodzić, ale jakoś zawsze brakuje mi czasu.

- Spotkamy się za kwadrans w holu. Chciałbym się jeszcze wykapać i przebrać.

Andrea poszła również do łazienki, gratulując sobie w duchu, że na przyjęcie do Blake'a zabrała zapasowe ubranie. Jej lawendowa suknia była koszmarnie pognieciona i nieświeża. Szybko wzięła prysznic i uczesała włosy. Na szczęście miała także eye-liner, cienie do powiek i puder, mogła więc od razu zrobić sobie lekki makijaż.

W spodniach, sportowej bluzce i beżowym blezerze wyglądała tak, jak powinna wyglądać rano elegancka młoda kobieta.

Blake też to zauważył. - Widzę, że jesteś zawsze zadbana - powiedział z uznaniem. On sam ubrał się w spodnie koloru khaki i sportowy pulower.

Niespiesznie poszli do najbliższego skrzyżowania. Blake zatrzymał się, słysząc dźwięk dzwonka słynnego tramwaju. - Niektóre rzeczy nie zmieniają się. Ten dzwonek był nieodłącznym towarzyszem mojego dzieciństwa. Pojedziemy tramwajem w dół Hyde Street czy wolisz pójść na piechotę?

- Wolę iść pieszo - odrzekła Andrea. Lubiała jeździć tramwajem, ale wiedziała, że spacer będzie trwał dłużej, a zależało jej na przedłużeniu tego cudownego poranka z Blake'em.

- To tu spędziłeś dzieciństwo? - spytała.

- Tak. Mój dom rodzinny znajduje się o kilka przecznic stąd. Teraz mieszka w nim Evelyn. W czasie roku szkolnego mieszkałem z ojcem w

San Francisco, a na lato przenosiliśmy się do Tahoe. - Chciałbym, aby moi synowie mieli takie cudowne dzieciństwo jak ja.

U stóp wzgórza Pacific Avenue przechodziła w labirynt uliczek Chińskiej Dzielnicy. Było tam bardzo kolorowo i bardzo głośno. Uliczni sprzedawcy układali wysokie piramidy z owoców i jarzyn i nawoływali nielicznych jeszcze o tej porze przechodniów do zakupów. Samochody dostawcze okupowały chodniki, a dostawcy wnosili do sklepów kosze z gładzącym drobiem. W powietrzu unosił się oszałamiający zapach anyżku, korzeni lotosu, świeżego imbiru i innych egzotycznych przypraw.

- Czuję się we własnym mieście jak turystka - powiedziała Andrea, gdy skręcili w malowniczą uliczkę, leżącą na uboczu turystycznego szlaku.

- Ja znam te zakątki na pamięć. Co roku braliśmy udział w obchodach chińskiego Nowego Roku. Wyobraź sobie podniecenie i radość dziecka, któremu pozwolono nie spać do północy, aby mogło obejrzeć paradę smoków i widowisko sztucznych ogni. Następnego ranka zazwyczaj bolał mnie brzuch, ponieważ pochłaniałem przy tym niesłychane ilości kandyzowanych melonów.

Andrea roześmiała się wesoło. - Musiał być z ciebie niezły łakomczuch. Mojemu ojcu nigdy by nie przyszło do głowy, żeby mnie zabrać do Chinatown. Nade wszystko ceni sobie spokój i ciszę, a tu jest zbyt hałaśliwie jak na jego gust. Jako dorosła osoba też się tu nie zapuszczałam zbyt często. Natomiast z zachwytem przeczytałam powieść mojej babci, której akcja toczy się w Chińskiej Dzielnicy.

Chodzili bez celu po wąskich uliczkach, przyglądając się wystawom sklepowym. Blake zatrzymał się na chwilę, aby kupić od młodej Chinki bukietik fiołków dla Andrei. Wzruszyła się tym sympatycznym gestem.

Trzymając się za ręce wrócili do domu. Aromat świeżo zaparzonej kawy zaskoczył Andreę. Weszła do kuchni, ale nigdzie nie mogła dostrzec źródła tego zapachu.

Blake roześmiał się, szczerze ubawiony zaskoczoną miną dziewczyny. - Chodź ze mną - poprowadził ją do schodów. - Pokażę ci coś na górze.

Żelazne schody pięły się z pierwszego piętra na strych.

- Zdejmij lepiej buty, będzie ci się wygodniej szło po stromych stopniach.

Andrea znalazła się w niewielkim pokoju z cudownym widokiem na miasto i zatokę. Na lakierowanej podłodze leżał miękki puszysty dywan otoczony ogromną liczbą kwiatów doniczkowych, pogrupowanych w piękne zielone kompozycje. W rogu stał niski stolik z przyborami do kawy. W

drugim rogu Andrea zauważyła wieżę kompaktową. Poza tym w pokoju nie było żadnych innych sprzętów.

Blake włączył magnetofon. Dźwięki koncertu fortepianowego Mozarta wypełniły małe pomieszczenie.

Andrea podeszła do ogromnej szyby, aby wyrzeć na zewnątrz. Po przeciwnej stronie wznosił się szklany wieżowiec, w którym do niedawna pracowała. Pamiętała, że okno jej redakcji wychodziło właśnie na tę stronę.

Blake stanął tuż za jej plecami. - Prawda, że widok jest urzekający?

Poczuła ciepły oddech na karku. Odwróciła się, aby zobaczyć wyraz jego twarzy. Ujął jej twarz w dłonie, pochylił głowę i pocałował ją w usta.

Był to długi pocałunek, czuły i delikatny. Blake przytulił ją do siebie jedną ręką, drugą zaś zaczął rozpinać spodnie Andrei. Zrobiło jej się gorąco. Nie bronila się.

Położył ją nagą na miękkim dywanie. Jego pieszczoty stawały się coraz odważniejsze. Całował całe jej ciało, drżące z podniecenia. Zbliżył się ustami do łona dziewczyny. Jęknęła w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić.

Język Blake'a penetrował najintymniejsze zakamarki jej ciała. Andrea wygięła się w łuk i zafalowała niespokojnie biodrami.

Wyczuł, że zbliża się do szczytu ekstazy. Otoczył ciasno biodra dziewczyny rękami.

Andrea krzyknęła przeciągle, chwilę trwała nieruchomo, a potem opadła na dywan.

Blake położył się obok niej. Czule gładził ją po głowie i delikatnie całował rozgrzane policzki.

- Blake - szepnęła - ja...

Przerwał jej natrętny dzwonek do drzwi. Dźwięk ten miał działanie podobne do zimnego prysznica.

- Blake, nie zaprosiłeś chyba nikogo na śniadanie - mruknęła Andrea zażenowana. Spojrzała na niego błyszczącymi oczami, w których jeszcze tlił się ogień namiętności.

- Zignorujemy po prostu ten dzwonek - odparł spokojnie. Niestety, za chwilę rozległ się w holu głos Evelyn Everett.

Blake zaklął i zerwał się. Nie mógł dopuścić do tego, żeby macocha weszła tu na górę. Zbiegł szybko po schodach.

Andrea ubrała się w pośpiechu. Schodziła wolno, powtarzając sobie, że jest dorosłą kobietą i nie musi się wstydzić swojego postępowania.

Evelyn Everett przerwała dyskusję z Blake'em ujrzawszy Andreę w drzwiach salonu.

- Dzień dobry, pani Everett - powiedziała uprzejmie dziewczyna.

- Ach, panna Winslow! - ucieszyła się zjadliwie Evelyn. - Widzę, że bardzo się pani przykłada do pracy. Poznała już pani zapewne Blake'a od każdej strony.

Andrea zarumieniła się lekko, nie dała się jednak wytrącić z równowagi. - Mam nadzieję, że udowodni to książka, którą razem piszemy.

- Książka, naturalnie! - syknęła pani Everett. - Naśladowuje pani we wszystkim swoją babkę. Dobrze pamiętam, jaką miała opinię. Jako mała dziewczynka słyszałam rozmowę rodziców na temat Gilberty Winslow. Dziwili się bardzo, jak mogła pojechać do Europy z mężczyzną, który nie był jej mężem. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, jak mówi stare przysłowie.

- Dostyc już tego, Evelyn! - Blake przerwał jej ostro.

Niczym nie zrażona zwróciła się do pasierba: - Jak już mówiłam, nie chciałam ci przeszkadzać we wczorajszym przyjęciu i dlatego przyniosłam te papiery dopiero dzisiaj. Justin dał mi je przed odjazdem na lotnisko. Prosił, abysj je przejrzał i zadzwonił do niego do hotelu w Chicago, zanim zapadnie ostateczna decyzja o tej fuzji.

Everettowie zagłębili się w rozmowę o planowanej decyzji i jej ewentualnych konsekwencjach, wobec czego Andrea wycofała się do sypialni Blake'a. Nie była jeszcze w tym pokoju. Jego wystrój jednoznacznie mówił, że to sypialnia mężczyzny. Szerokie łóżko pokrywała kapa w ciemne geometryczne wzory. Poza łóżkiem w pokoju znajdowała się duża komoda i wygodny fotel.

Andrea usiadła w nim i zaczęła przeglądać magazyn poświęcony sztuce. Znalazła w nim reprodukcję „Tancerka” Degasa. Uśmiechnęła się przypomniawszy sobie niedawne słowa Blake'a.

Powędrowała wzrokiem ku fotografiom ustawionym na nocnym stoliku. Jedna z nich przedstawiała Ginę Sorrenti z dwoma małymi chłopcami.

Serce Andrei ścisnęło się boleśnie. Co takiego powiedział Blake dziś rano w Chińskiej Dzielnicy? „Chciałbym, aby moi synowie mieli podobne dzieciństwo”. Przemknęło jej przez myśl pytanie, czy czarnowłosa kobieta nie jest przypadkiem matką jego dzieci. Jeśli tak było w istocie, to niepotrzebnie robiła sobie jakiegokolwiek nadzieje na wspólne życie z Blake'em. Gina będzie przecież zawsze stała między nimi.

Odstawiła fotografię na miejsce i wróciła do salonu.

Evelyn już sobie poszła, Blake zaś stał przy oknie zamyślony.

Odrzucił się słysząc jej kroki. - Evelyn zachowuje się czasem poniżej wszelkiej krytyki. Mam nadzieję, że nie przejęłaś się nią zanadto.

Andrea wzruszyła ramionami. - O żadnym z Everettów nie mogę powiedzieć, aby grzeszył nadmiarem taktu.

- Blake spochmumiał. - Co to ma znaczyć?
- Możesz sobie dowolnie zinterpretować moje słowa - odrzekła zimno. Chciał ją złapać za ramiona, ale wymknęła mu się z ręcznic.
- Andreo, co stało się z tobą w czasie tych pięciu minut?
- Nic - powiedziała. - Uświadomiłam sobie tylko, że nie spytałeś mnie, czy będę nadal pracować nad twoją książką, czy nie.
- Myślałem, że sprawa jest już przesądzona. Jeśli nie wczoraj wieczorem, to dzisiaj rano...
- Wszystko jest dla ciebie takie oczywiste, Blake - rzekła rozżalona. - Otóż zdecydowałam, że dokończę tę książkę, ale na swoich warunkach.
- A jeśli ja się na nie nie zgodzę? - zapytał na pozór lekko, ale nerwowe drganie jego warg zdawało się temu zaprzeczać.
- Wtedy zrezygnuję z pracy dla ciebie i zajmę się pisaniem własnej książki. Martin Jameson jest zainteresowany wydaniem biografii Gillie.
- W jej głosie zabrzmiała nieskrywana duma.
- Rozumiem - powiedział Blake, przeciągając sylaby. - Dostałaś szansę i gwizdziesz na mnie.
- To nie fair, Blake! - zawołała oburzona. - Chcę dokończyć książkę o wspinaczkach, ale nie będę mieszkać w twoim domu. Wynajmę sobie mieszkanie w mieście.
- Jeśli ma to coś wspólnego z kąśliwymi uwagami Evelyn...
- Nie - zaprzeczyła. - Twoja macocha i jej złośliwości nie mają nic do tego. Chcę po prostu, aby nasze stosunki kształtowały się na czysto służbowych podstawach.
- Czemu mówisz mi o tym dopiero teraz? Wydawało mi się, że tam, na górze, byłaś innego zdania...
- Andrea wzięła szal i torebkę z kanapy.
- Do widzenia, Blake - przerwała mu raptownie.
- Przy drzwiach odwróciła się jeszcze. - I dzięki za kawę.

## ROZDZIAŁ 12

Andrea pogwizdywała sobie cichutko, rozpakowując rzeczy. Najważniejsze z nich, czyli utensylia pisarskie, ułożyła pieczołowicie na biurku pod oknem. Była bardzo zadowolona z drewnianego domku na zboczu Leaf Lake, niedaleko Tahoe. W domku był jeden wielki pokój z kominkiem z naturalnego kamienia i maleńka kuchenka. Na zewnątrz między dwoma drzewami wisiał duży hamak zachęcający do drzemki lub spokojnej lektury. Obok drzwi znajdował się grill.

Przyjechała tu, bo chciała być bliżej gór, chciała chłonąć ich atmosferę, chciała lepiej zrozumieć Blake'a. Zależało jej na oddaniu wszystkich lęków i radości alpinisty, na wyjaśnieniu tej wewnętrznej potrzeby zdobywania coraz to nowych szczytów.

Często miała ochotę pojechać do Blake'a i zapytać go bezpośrednio o wiele kwestii, nie zdobyła się jednak na odwagę. Jego dziennik stanowił teraz dla dziewczyny nieocenioną wartość, ale żebranie o dostęp do niego nie licowałoby z jej godnością. Nie, nie pójdzie do Blake'a. To on musi się złamać pierwszy.

Andrea poczuła się jakoś dziwnie samotna. Wzięła prysznic, ubrała się w białe dzinsy i brązowy golf i postanowiła zrobić zakupy.

Parking przed supermarketem zatłoczony był campowozami. Andrei udało się jeszcze znaleźć miejsce dla swojego garbusa. Gdyby jeździła mercedesem, ta sztuka na pewno by się jej nie udała.

Pchała właśnie wózek do półek z konserwami, gdy usłyszała swoje imię. Zaskoczona odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z ciemnowłosą kobietą ubraną w koszulę w kratkę i zamszową spódnicę. Natychmiast poznała Ginę Sorrenti.

Gina uśmiechnęła się serdecznie. - Jakże się cieszę, że panią spotykam. W kasynie nie miałyśmy okazji do rozmowy, a Blake przedstawił panią w jak najlepszym świetle.

- Naprawdę? - Andrea uśmiechnęła się niepewnie.

- Ależ tak! Bardzo jestem ciekawa, jak wypadnie książka, którą pani pisze. Dla Blake'a jest ona niezwykle ważna. Dla nas wszystkich...

- Blake, nie szalej tak! - zawołała do małego, może siedmioletniego chłopca, który biegł między regałami sklepowymi.

Imię chłopca znaczyło dla Andrei cios prosto w serce. Nie wiedziała, co począć z rękami.

- Joey, ty też nie zachowujesz się odpowiednio - Gina upomniała pyzatego czterolatka, biegającego za bratem.

- Ach, te dzieciaki! Czasami są po prostu niemożliwe! Zatrzymała się pani u Blake'a, Andreo?

Andrea najchętniej uciekłaby ze sklepu gdzie pieprz rośnie, ale blokował ją wózek Giny i jej obaj synowie. - Nie - odparła krótko, nie wyjaśniając, dlaczego. - Wynajęłam sobie domek na zboczu Leaf Lake.

- Świetnie się składa - ucieszyła się Gina. - Jesteśmy wobec tego bardzo blisko siebie. My mieszkamy bowiem w Edgewood.

Andrea zdziwiła się nieco szczerą radością Giny. Zawsze myślała, że kochanki są zazdrosne o swoich mężczyzn i ostrożne w kontaktach z rywalkami. - Może przyszlaby pani do nas na lunch? - zaproponowała Gina.

Andrea usiłowała wydostać swój wózek na wolną przestrzeń. - Muszę już wracać - powiedziała, nie patrząc na Ginę. - Praca mnie wzywa.

- Proszę, niech pani przyjdzie do nas. Praca nie zajac, nie ucieknie. Wstawimy pani zakupy do lodówki, jeśli boi się pani, że się zepsują.

Gina była tak ujmująco serdeczna, że nie sposób było jej odmówić. Poza tym pogawędka z nią przybliży jej postać Blake'a, na czym cały czas jej zależało.

Dom Giny stał z dala od zakurzonej ulicy między piniami. Z kuchennych drzwi wypadł wielki seter.

- To jest K-2 - przedstawiła go Gina. - Został nazwany tak, jak jeden z czternastotysięczników w Himalajach. Znajomi pukali się w czoło, że nadaliśmy szczeniakowi takie dziwne imię, ale to było jeszcze przed modą na R2D2. - Gina zniżyła głos do szeptu, chowając zakupy Andrei do lodówki. - Nie mogę mówić głośno o „Gwiezdnym wojnach”, bo dzieci oszalały na punkcie filmu. Zaraz zaczęłyby nudzić, żeby włączyć wideo, chociaż znają je już na pamięć.

Andrea roześmiała się wesoło i spytała, czy może w coś pomóc.

- Nie, nie trzeba. Wie pani, jak to jest. Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść. Proszę się rozgościć w salonie - Gina wskazała ręką właściwe drzwi. - Ja tylko podgrzeję zupę, zrobię grzanki z serem i zaraz siadamy do stołu. Mam nadzieję, że lubi pani włoską kuchnię. - Gina zręcznie lawirowała w kuchni między synami i psem.

Do drzwi ktoś zapukał. Pulchna blondynka zajrzała do kuchni.

- Cześć, Reggie! Czy mogłabyś mi pożyczyć dwie szklanki mąki? Rodzice Dena zapowiedzieli się na obiad, a ja nie mam ani krzty mąki w domu. Nie zdążę już pojechać do sklepu.

- Oczywiście, Anno. Blake zaraz ci przyniesie.

Nagle Andrea zrozumiała wszystko. Sąsiadka nazwała Ginę imieniem, które spotkała w dzienniku Blake'a.

Przy zupie spytała z pewnym wahaniem: - Myślałam, że ma pani na imię Gina, ale sąsiadka nazwała panią inaczej... Reggie.

Gina uśmiechnęła się smutno. - Wcześniej każdy tak do mnie mówił, ale trzy lata temu zamieszkała ze mną na jakiś czas moja matka i jako konserwatywna Włoszka nie mogła znieść amerykańskiego zdrobnienia od imienia Regina. Byłam wtedy chora i było mi wszystko jedno. W tym czasie Blake często nas odwiedzał. On także przyzwyczyił się nazywać mnie Giną.

- A więc to pani była żoną Franka - odezwała się Andrea współczująco.

Gina posmutniała jeszcze bardziej. Zagryzła wargi. - Tak. Blake i Frank byli najlepszymi przyjaciółmi pod słońcem. Frank kochał Blake'a jak starszego brata, dlatego nasz pierworodny nosi jego imię.

- Gina rozszlochała się. Andrea czuła, że nie wolno jej nic mówić. Musi pozwolić jej się wygadać.

- Blake obwinił się za ten nieszczęśliwy przecież wypadek. Mam wrażenie, że jeszcze nie uwolnił się od tego brzemienia. Postanowił zaopiekować się rodziną swojego najbliższego przyjaciela. - Gina uśmiechnęła się blado. - Nie chciałam się na to zgodzić. Musiałam się jakoś pozbierać. Blake pożyczył mi więc pięć tysięcy dolarów na otworenie sklepu z artykułami sportowymi w Stateside. Frank zawsze marzył o takim przedsięwzięciu, postanowiłam więc spełnić jego wolę.

Natomiast zgadzałam się zawsze na pieniądze dla dzieci. Blake był hojny. I to nie tylko w sprawie pieniędzy, poświęcał również moim synom dużo czasu. Poświęcał i poświęca, i za to jestem mu bezgranicznie wdzięczna. W zeszłym miesiącu Blake miał urodziny. Blake pracował na tyłach mojego sklepu nad małą łódką dla niego. Zajęło mu to niemal tydzień, ale radość mojego dziecka była naprawdę ogromna.

Andrea dowiedziała się więc, w jaki sposób Blake spędzał czas poza domem wtedy, gdy jeszcze mieszkała u niego. Ogarnęło ją poczucie winy. Myślała przecież, że leżał w ramionach kochanki.

Przy kawie i biszkoptach spytała Ginę wprost: - A więc nie jest pani zakochana w Blake'u?

Gina spojrzała na nią zaskoczona, po czym wybuchnęła serdecznym śmiechem. - Co też pani przyszło do głowy? Lubimy się bardzo, ale tylko i wyłącznie jak brat i siostra. Jeśli nie ma jakiejś sympatii, zaprasza mnie do jakiegoś lokalu, żebym się trochę rozerwała. Ostatnio zdarza się to jakby częściej. Od kiedy wrócił z Arabii Saudyjskiej, ani razu nie spotkał się z żadną z tych tancerek czy chórzystek. Nie wiem, czy nie dzieje się tak za pani sprawą - zastanowiła się. - W każdym razie bez przerwy mówi o pani. Początkowo myślałam, że musiała mu pani zależeć za skórę, bo stale



uskarżał się na pani upór i cięty język. Przypuszczam, że Blake Everett trafił wreszcie na odpowiednią kobietę i... - zawiesiła głos - zakochał się.

Andrea zaczerwieniła się zmieszana. Szybko skierowała rozmowę na inne tory. - Ja też chwilami miałam Blake'a i współpracy z nim dosyć. Zachowywał się po prostu niemożliwie, nie dowierzał mi, nie chciał odpowiadać na moje pytania.

Gina zamyśliła się. - Możliwe, że jest nieco trudny we współżyciu. Po śmierci Franka zaszył się w swojej samotni, nękany wyrzutami sumienia. Dopiero teraz dociera do niego, że nie obarczam go winą za śmierć męża. To była straszna tragedia, ale życie toczy się dalej, a ja mam dzieci, które jeszcze długo będą mnie potrzebować.

- Dlaczego brał na siebie winę za ten wypadek?

- Nie wiem - westchnęła Gina. - Być może dlatego, że był o sześć lat starszy od Franka i czuł się za niego odpowiedzialny. Ach, jakże żałuję, że już go pani nie pozna. Polubiłaby go pani z pewnością. Franka lubili wszyscy. Pochodził, tak jak ja, z wielodzietnej rodziny włoskich imigrantów. Lubił wokół siebie gwar, kochał rodzinę i miał nieokiełznany temperament. Blake hamował go czasem, ale raczej odnosił się do niego pobłażliwie, jak do młodszego brata. Był dla Franka niedoścignionym wzorem spokoju i opanowania.

Obie kobiety przegadały w ten sposób całe popołudnie. Andrea nie chciała odejść, dopóki widziała ból w oczach swojej nowej znajomej.

- Obawiam się, że zanudziłam panią wspomnieniami o Franku. - Gina spojrzała na Andreę zakłopotana.

- Ależ skąd! Czuję się u pani jak u siebie w domu. Jest pani taka bezpośrednia i miła.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Gina. - Mam pewien pomysł. Frank prowadził w czasie wypraw w góry dziennik. Pożyczę go pani, aby mogła pani poznać Blake'a z innej perspektywy.

- Doskonały pomysł. Dziękuję z góry, Gino - ucieszyła się Andrea. Przy pożegnaniu zaproponowała Ginie przejście na „ty”. Opuściła jej dom przeświadczona, że oto znalazła nową przyjaciółkę.

## ROZDZIAŁ 13

Andrea pracowała w cieniu pinii, ale koło południa grzmoty i błyskawice zapędziły ją z powrotem pod dach.

Z filiżanką kawy usiadła na kanapie. Myślami wróciła do rozmowy z Giną. Powiedziała, że Blake się chyba w niej zakochał. Andrea uśmiechnęła się smutno. Niczego bardziej nie pragnęła, ale w tej chwili ich wzajemne stosunki przypominały swym charakterem zimną wojnę.

Kilka razy miała ochotę pójść do niego i pogodzić się, ale zawsze rezygnowała z tego pomysłu. Bała się odrzucenia.

Z zainteresowaniem przejrzała zapiski Franka. Szczególnie zaintrygował ją opis bardzo trudnej wspinaczki w kanadyjskich Górach Skalistych. Złe warunki pogodowe zmusiły alpinistów do noclegu w śniegu i lodzie. Jednemu z członków wyprawy groziło odmrożenie stóp. Blake uratował go grzejąc mu stopy własnym ciałem pod kurtkę. Następnego dnia udało im się zejść na dół. Chłopak trafił do szpitala na kilka tygodni, a Blake miał odmrożone uszy, o czym nikomu nie powiedział.

Andreę tak bardzo pochłoneła lektura dziennika Franka, że spędziła na niej kilka godzin. Kiedy się wreszcie od niej oderwała, stwierdziła, wyglądając przez okno, że burza dawno już minęła. Kilka minut później usłyszała warkot samochodu. Serce podskoczyło jej do gardła. Była niemal pewna, że za chwilę stanie w drzwiach Blake.

Ktoś zapukał do okna. Ty była Gina. Trzymała w obu rękach jakieś pakunki, przez co nie mogła sobie sama otworzyć.

Andrea wpuściła ją do środka. - Ale jesteś obładowana!

- Jak się masz, Andreo! - uśmiechnęła się Gina. - Przywiozłam trochę pomidorów z naszego ogródka. Posadziłam je wiosną z południowej strony i wyobraź sobie, że już zaczynają dojrzewać. Poza tym upiekłam ci chlebek z daktylami. Przeczytałam gdzieś, że węglowodany wspomagają pracę mózgu i zapragnęłam wzmocnić swoją piszącą sąsiadkę.

- Chcesz mnie utuczyć! - roześmiała się Andrea.

- Nie wygłupiaj się. Masz figurę tancerki, w przeciwieństwie do mnie, - Gina poklepała się po okrągłych biodrach. - Muszę diabelnie uważać, żeby się nie roztyć jak ciotka Domenica.

- Dziękuję za wszystkie smakołyki. To miło, że o mnie pomyślałaś.

- Miałam dzisiaj trochę wolnego czasu, ponieważ Blake zabrał dzieci do Reno, do muzeum samochodów. Nie wrócą chyba zbyt wcześnie, bo te małe diabełka wiedzą, jak podejść wujka, i na pewno naciągną go na pizzę i colę.

- A wiesz, Gino, sprawiłaś mi dużą radość dziennikiem Franka. Była to pasjonująca lektura. Myślę, że teraz pisanie pójdzie mi jak z płatka.

- Jesteś pewna, że to zasługa dziennika, a nie zapachu mojego daktylowego chleбка? - zazartowała Gina.

- Dobrze, że mi o nim przypomniałaś. Jestem potwornie głodna. Zaparzę kawę, a ty bądź tak miła i pokrój swój wypiek.

Kiedy usiadły przed kominkiem, Andrea zapytała mimochodem: - Czy wspomniałaś Blake'owi o tym, że się zaprzyjaźniłyśmy?

- Chyba coś mu napomknęłam na ten temat. A dlaczego pytasz?

- Tak tylko... - zająknęła się Andrea.

- Kiedy ci powiedziałam, że Blake prawdopodobnie się w tobie zakochał, nie pytałam, jaki ty masz do niego stosunek. Czy ty go kochasz, Andreo?

Andrea milczała przez chwilę. - Czasami trudno jest zdać sobie sprawę z własnych uczuć - zaczęła niepewnie. Odstawiła filiżankę na okap kominka i zaczerpnęła powietrza. - Ale... tak. Kocham go bardzo.

Gina uśmiechnęła się z zadowoleniem. - To cudownie! - klasnęła w ręce. - Czemu więc nie spróbujecie się wreszcie dogadać?

- Nie wiem - Andrea westchnęła bezradnie. - Jesteśmy pewnie zbyt dumni, aby wyciągnąć rękę do partnera. W pewnym momencie ubrałam sobie, że jesteś kochanką Blake'a, i zachowałam się wobec niego odpychająco. Teraz myślę, że on nie wiedział, o co mi chodziło.

- Ależ ty masz pomysły! Co ci strzeliło do głowy?!

- Jesteś przecież bardzo ładna i kiedy zobaczyłam cię u boku Blake'a w kasynie, oszalałam z zazdrości.

Gina spoważniała. - Ja też byłam szalenie zazdrosna o Franka. Słuchaj, a może chcesz, żebym zaaranżowała dla was kolację? Może na neutralnym gruncie będzie wam się łatwiej dogadać?

- Nie, dziękuję, Gino, jesteśmy dorośli i powinniśmy sami załatwić swoje sprawy.

- Masz rację.

Milczały przez chwilę, a potem Andrea zmieniła temat.

- Powiedz mi, Gino, czy chciałabyś jeszcze wyjść za męża?

Gina nałała sobie kawy. - Mam przyjaciela, ale nie wiem, czy wyjdę za niego za męża. George Kiriakos ma czterdzieści sześć lat, ale wygląda o wiele młodziej. Owdowiał w zeszłym roku. Można powiedzieć, że początkowo zbliżyło nas wspólne nieszczęście, a później dopiero odkryliśmy swoje zalety. Bardzo się lubimy i darzymy szacunkiem. Mimo to nie jestem pewna...

Andrea zrozumiała wahanie Giny.

- Gino, nie staraj się o tę głęboką miłość, która połączyła cię z Frankiem. Jego nikt ci nie zastąpi. Ale możesz zbudować swój związek z Georgem na przyjaźni. Dla chłopców będzie niewątpliwie lepiej, kiedy się będą wychowywać w pełnej rodzinie. Blake stara się wprowadzić jak może, ale przecież często przebywa za granicą.

- Dziękuję, Andreo. Potrzebowałam właśnie takiej wskazówki.

Następne dni upłynęły Andrei na intensywnym pisaniu kolejnych rozdziałów. Dziennik Franka okazał się dla niej nieocenioną pomocą.

Była z siebie bardzo zadowolona, ale do pełnego szczęścia brakowało jej pochwały i akceptacji Blake'a. Nadal jednak nie potrafiła się przemóc i przyjechać do niego. Wołała jeździć do Stateside i posyłać mu kolejne rozdziały pocztą.

Któregoś ciepłego popołudnia Andrea usnęła w hamaku z książką swojej babki w ręku.

Obudził ją trzask igieł piniowych. Leniwie uniosła powieki i spojrzała prosto w szare oczy Blake'a Everetta. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Blake wyciągnął rękę i pomógł Andrei wstać z hamaka.

- Przeczytałem właśnie rozdziały, które mi przysłałaś. Dobrze się do nich przygotowałaś.

- Cieszę się, że to zauważyłeś - uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem.

- Naniósłem kilka poprawek, a właściwie uzupełnień - dodał Blake.

- Znasz się na tym, co robisz, Andreo.

- Czy chcesz coś do picia? Nie ma wprawdzie whisky, ale mogę ci zaproponować mrożoną herbatę albo sok porzeczkowy.

- Poproszę herbatę.

Andrea wrzuciła kilka kostek lodu do szklanki, wycisnęła do niej trochę soku z cytryny i nalała herbaty. Podała Blake'owi szklaneczkę.

- Skąd wiedziałaś o tej sprawie z odmrożonymi stopami?

- Przeczytałam dziennik Franka.

Wiedziała, że musi to jakoś wytłumaczyć. - Gina sama zaproponowała mi tę lekturę.

Andrea usiadła na sofie, Blake zaś zajął miejsce na krześle naprzeciwko niej.

- Frank był moim najlepszym przyjacielem. Jeszcze nie mogę pogodzić się z jego śmiercią.

- Gina także - odparła - Zawsze będzie go jej brakowało, ponieważ jego wspomnienie jest dla niej ciągle żywe. Zrozumiała wszakże, że życie toczy się dalej i że musi myśleć o przyszłości swoich dzieci.

Blake nie mówił nic. Wbił ponury wzrok w zawartość szklanki.

- Zrobiłeś znacznie więcej, niż się ktokolwiek mógł spodziewać. Jesteś wspaniałym człowiekiem, Blake - szepnęła łagodnie. - Ale czy nie uważasz, że już nadszedł czas, abyś dał Ginie żyć własnym życiem? Jak wiem, rezerwujesz dla siebie ostatnio prawie każdy jej wieczór.

- Widzę, że się naprawdę zaprzyjaźniłyście - mruknął Blake.

- Blake, powinieneś dać szansę George'owi Kiriakosowi.

- On właśnie martwi mnie najbardziej. Jest prawie o dwadzieścia lat starszy od Giny.

Dziewczyna roześmiała się głośno. - Mówisz jak zatroskany ojciec, który niepokoi się o córkę. Co to będzie, gdy sam będziesz miał córkę! Czemu martwisz się wiekiem George'a? Mężczyzna, który codziennie rano rozgrywa trzy partie tenisa, nie może być starcem.

Blake uśmiechnął się krzywo. Wstał z krzesła i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. Wreszcie zatrzymał się przed Andrea.

- Może wybralibyśmy się gdzieś na kolację? - zaproponował.

- Mam lepszy pomysł. W lodówce jest jeszcze kilka steków i pomidory od Giny. Sama przyrządzę dla nas kolację. Mam nawet butelkę chablis w spizami.

- Chętnie skorzystam z zaproszenia - uśmiechnął się Blake.

- Okay. Idę wobec tego do kuchni, a ty przejrzyj szkic pozostałych rozdziałów, jeśli masz ochotę.

Za oknami zapadł już zmierzch. Andrea i Blake usiedli przy kominku. Blake nalał wina do wysmukłych kieliszków.

- Za nowy początek - powiedział półgłosem.

Po kolacji siedzieli chwilę w milczeniu. Blake patrzył w ogień zamyślony.

- Wiesz - przerwał ciszę - zawsze, gdy patrzę w ogień, przypominam sobie ogromny pożar, jaki miał tu miejsce wiele lat temu. Objął setki tysięcy hektarów. Miałem wtedy piętnaście lat i bardzo to przeżyłem. Wtedy też zdałem sobie sprawę z tego, że dziewczęta mają w sobie coś pociągającego.

- Popatrzył na Andreeę znacząco.

- Doprawdy, Blake? Odnoszę wrażenie, że pod tym względem niewiele się zmieniłeś... kobiety pociągają cię nadal, i to wiele.

- Zawsze musisz robić użytek z tego swojego ostrego języka? - spytał zły.

- Źle interpretujesz moje słowa, Blake - oburzyła się Andrea. - Po prostu mówię to, co myśłę i czuję.

Nieoczekiwanie ujął jej dłoń i pogładził ją delikatnie. - A co czujesz teraz, Andreo? - spytał cicho.

Zapatrzyła się w ogień na kominku. - Teraz czuję się, jakbym miała szesnaście lat - wyszeptła.

- Zdaje mi się, że musimy jeszcze coś załatwić.

Puścił jej rękę i wstał. Zdjął koszulę i zabrał się do odpinania paska od spodni. Po chwili stanął przed Andreą tylko w granatowych slipkach.

Wyciągnął do niej rękę. - Chodź, pójdziemy popływać.

Andrea podniosła się powoli. - Popływać? - zdziwiła się. - Woda w jeziorze jest na pewno lodowata.

- Będziemy się ogrzewać własnymi ciałami.

- Ja... muszę włożyć kostium.

- To zbyteczne - powiedział Blake, rozpinając guziki jej bluzki. Zręcznie wyluskał ją z poszczególnych części garderoby. Potem zarzucił kapę z sofy na ramiona i wziął Andreę na rękę.

Igły pinii trzeszczały sucho pod bosymi stopami Blake'a, gdy schodził w dół do jeziora.

Wszedł po pas do wody i nagle bez żadnego ostrzeżenia podniósł Andreę do góry i wrzucił do wody. Zanim znalazła się pod powierzchnią, zdążyła jeszcze krzyknąć przeraźliwie.

- Od kilku tygodni miałem na to straszliwą ochotę - zaśmiewał się Blake.

- Ach, ty draniu! - parsknęła Andrea. - Czekaj no!

Ruszyła w jego stronę z miną nie zapowiadającą niczego dobrego. Jej pełne piersi zaślśniły kropelkami wody w srebrnej poświacie księżyca.

- Och, Andreo... - westchnął Blake. - Wyglądasz jak syrena. Zanurkował i za chwilę Andrea poczuła, że chwytą ją za kostki. Rzuciła się w bok, ale było już za późno na ucieczkę. Blake ciągnął ją w dół. Na szczęście nie trzymał jej pod wodą zbyt długo. Wziął dziewczynę na rękę i wyniósł na piasek. Owinął ją w kapę, żeby nie zmarzła.

W domku położył Andreę na podłodze przed kominkiem. Dołożył dREW do ognia i natychmiast zrobiło im się ciepło. Wyciągnęła do niego stęsknione ramiona. Byli siebie tak spragnieni, że nie tracili czasu na pieszczoty. Zatracili się we wzajemnym rytmie swych ciał. Wspólnie dotarli na szczyt rozkoszy.

Kiedy ich oddechy uspokoiły się, a serca zaczęły bić normalnie, Blake spojrział na Andreę. Po jej policzku spływała samotna łza.

Uśmiechnęła się jednak do niego. - Blake, jeszcze nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłam...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

Andree obudził przeraźliwy krzyk ptaka. Za oknem wstawał już świt. Spojrzała z czułością na śpiącego Blake'a. Poglądziła go po kłującym policzku.

- Cholerne ptaszysko - mruknął sennie.

- Blake - odezwała się Andrea poważnie. - Kocham cię i przypuszczam, że dobrze o tym wiesz. Nie myślałam, że będę zdolna do takiego głębokiego uczucia.

Blake usiadł na kanapie. Poglądziła palcami jego muskularne plecy.

- Co się stało, Blake?

- Jedna namiętna noc nie oznacza jeszcze obietnicy na zawsze - rzekł ponuro.

Andrea podciągnęła kołdrę pod brodę. Słowa Blake'a zmroziły ją.

- Co więc znaczyła dla ciebie ta noc? Jednorazową przyjemność?

- Tego nie powiedziałem, Andreo. Wiesz, że wiele dla mnie znaczysz i ta noc była dla mnie równie cudowna jak dla ciebie. Ale nie domagaj się ode mnie żadnych innych deklaracji.

- Blake - westchnęła ciężko - musisz wiedzieć, że to nie jest chwilowy kaprys z mojej strony. Zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy. Długo trwało, zanim zrozumiałam, że cię kocham. Ukradkowe spotkania przestały mi już wystarczać.

- Powtórzę to, co już ci powiedziałem. Nie mogę ci niczego obiecać, Andreo. Nigdy nie obiecywałem niczego żadnej kobiecie. - Głos mężczyzny zabrzmiał twardo i odpychająco.

- Nie jestem jedną z tych twoich panienek. Blake - wybuchnęła Andrea. - Randka raz na jakiś czas, nie, to nie dla mnie! Potrzebuję cię na zawsze!

Spojrzała na niego błagalnie.

- Idąc ze mną do łóżka, wiedziałas, jaki jestem - odparł bezlitośnie. W tym względzie nic się nie zmieniło.

Twarz Andrei stała się kredowobiała. - Idź już, Blake. Pozostałe rozdziały prześlę ci z San Francisco.

- Wyjeżdżasz? - spytał zaskoczony.

- Nie zostawiłeś mi wyboru. Nie chcę być dla ciebie tylko sposobem na miłe spędzenie czasu bez żadnych zobowiązań.

- Do diabła, Andreo! Zrozumże wreszcie, że moja decyzja jest nieodwołalna.

- Moja również.

## ROZDZIAŁ 14

Był posepny szary dzień. Na niebie zbierały się deszczowe chmury. Andrea spędziła całe przedpołudnie na pakowaniu swoich rzeczy. Ciągłe nasłuchiwała warkotu samochodu, mimo iż dobrze wiedziała, że Blake się nie pojawi.

Najpierw pojechała do Stateside na pocztę, aby przesłać mu projekty ostatnich rozdziałów. Wrzucając je do skrzynki, miała wrażenie, że wraz z nimi posyła mu jakąś część swego życia.

Na stacji benzynowej zauważyła zielony samochód Giny Sorrenti. Przywitała się z nią serdecznie.

- Dokąd się wybierasz, Andreo? - spytała przyjaciółka, widząc bagaże na tylnym siedzeniu garbusa.

- Do domu - odparła Andrea zwięźle.

- Czy coś się stało? - zaniepokoiła się Gina.

- Nie udało się. - Andrea wzruszyła ramionami.

Gina nie usłyszała odpowiedzi, ponieważ pobiegła wyłączyć dystrybutor.

- A gdzie ty się tak spieszysz? - spytała Andrea.

- Wyobraź sobie, że trzech alpinistów utknęło na Devil's Park. Tam jest bardzo niebezpiecznie. Blake ruszył na ratunek wraz z innymi alpinistami. Ekipa ratunkowa założyła bazę w domu Blake'a, który stoi najbliżej szczytu. Kiedy się o tym dowiedziałam, zamknęłam sklep i posłałam dzieci do sąsiadki. Ktoś im przecież musi gotować.

Gina wsiadła do samochodu. - To będzie długa noc, długa i ciężka...

- Czy ekipie ratunkowej zagraża jakieś niebezpieczeństwo? - spytała Andrea zaniepokojona.

- Oczywiście! Nadciąga burza, a to na pewno nie ułatwi im sprawy! - odparła Gina.

- Brr - wstrząsnęła się Andrea. - Za nic w świecie nie chciałabym być teraz w górach. Słuchaj, Gino, pojedę za tobą. Może ci się na coś przydam - zaproponowała Andrea.

- Pewnie, że tak - rozpromieniła się Gina.

Andrea wsiadła do garbusa i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Nie mogła wrócić teraz do San Francisco. Za bardzo niepokoiła się o swojego ukochanego.

Na podjeździe przed domem Blake'a gęsto było od jeepów i mężczyzn w długich butach. Andrea zaparkowała swojego zabloconego garbusa za czerwoną ciężarówką z napisem „Cal - Nevada Mountain Patrol”. Musiała utorować sobie drogę wśród mężczyzn z krótkofalówkami i mapami



topograficznymi. Kilku z nich spoglądało przez lornetki na górę, ale gęsta mgła znacznie utrudniała im widoczność.

Dołączyła do Giny, która już krzątała się w kuchni. Objęła ją serdecznie. Wiedziała, co się z nią działo. Przeżywała na nowo śmierć swego ukochanego męża.

W domu też było pełno ratowników. W salonie była teraz centrala dowodzenia akcją. Kolo kominka stała wielka radiostacja, a na ścianie ktoś zawiesił obok litografii z Indianami Nawaho powiększoną mapę Devil's Park.

Andrea wróciła do kuchni, aby pomóc Ginie. Wspólnymi siłami ugotowały olbrzymi gar chili, do którego zamierzały podać grzanki z czosnkiem. Potem jeszcze zaparzyły kawę, przelały ją do kilku termosów i zanosły wszystko ratownikom. Posiłek został przez nich przyjęty owacyjnie.

Przez całe popołudnie szalała wichura. Deszcz zaczął o szyby domu. Nastroje ratowników i obu kobiet pogarszały się z minuty na minutę. Andrea nie mogła znieść smutnych oczu Giny.

- Upieczmy teraz jakieś ciasto. Nie ma nic lepszego od dobrego ciasta  
- zawołała na pozór wesoło do przyjaciółki. Wcale nie zależało jej na cieście, którego niemal wcale nie jadła. Nie chciała po prostu siedzieć beczynnie.

Następną godzinę obie przyjaciółki spędziły znowu w kuchni. Kiedy Andrea wniosła pachnące czekoladowe ciasto do salonu, usłyszała głos emerytowanego pułkownika Lesa Jamisona, który rozmawiał przez radiostację.

- Co z wami? - krzyczał.

Andrea o mało nie upuściła tacy z ciastem, słysząc zmęczony, ale opanowany głos Blake'a: - Mamy problemy, Les. Teren pokrywa twarda warstwa lodu. Musimy przejść na wschodnią stronę i spróbować podejść.

Jamison westchnął ciężko. - Cholera jasna! To znaczy, że spędzicie noc w górach, i to bez prowiantu!

- Nie mamy wyjścia, Les. Musimy ich ratować. Nie przetrzymają następnej nocy. Zaczynamy podchodzić - oznajmił.

- Okay. Trzymajcie się.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Andrea i Gina nie położyły się spać. Żadna z nich nie mogłaby teraz zasnąć.

Siedziały przy kuchennym stole, zatopione każda w swoich myślach.

- Powiedz, jak rozwijają się twoje stosunki z George'm Kiriakosem? - spytała Andrea przyjaciółkę. Chciała, żeby na chwilę przestała myśleć o Franku.

- Przyjaźnimy się nadal - odparła Gina.

- Czy on jest podobny do Franka?

- Raczej nie. Owszem, też jest wesoły, ale nie ma tak szalonego temperamentu. Jest odpowiedzialny i bardzo, bardzo mądry. Wiem, że mu na mnie zależy i że chciałby zaopiekować się moimi dziećmi.

- Bardzo mnie cieszy to, co mówisz. Czy jesteś szczęśliwa?

- Nie tak jak z Frankiem, ale... - Gina zawiesiła głos - właściwie tak, jestem szczęśliwa, ponieważ wiem, że zawsze mogę liczyć na George'a.

- Wyjdiesz za niego?

- Jeśli mnie o to poprosi, tak - uśmiechnęła się Gina. - Dojrzałam już do tej decyzji.

Andrea ucałowała przyjaciółkę. - To cudownie, Gino! - zawołała z entuzjazmem.

- A jak układają się sprawy twoje i Blake'a? - spytała Gina. Andrea uciekła spojrzeniem w bok. - Obawiam się, że utknę w martwym punkcie. Blake nie chce się wiązać.

- Wiesz dlaczego, prawda?

- Nie jestem pewna. - Andrea potrząsnęła głową.

- Boi się, że sprawi ci ból, Andreo. Zobacz, co się teraz dzieje. Siedzimy tu w nocy i ze ściśniętymi sercami czekamy na jego powrót drżąc, aby mu się nic nie stało. Wyobraź sobie, jakbyś przeżywała wyprawę, gdybyś była jego żoną i matką jego dzieci.

Andrea potarła brodę w zamyśleniu. - Myśli więc, że jestem taka słaba... Myli się! - powiedziała z mocą.

- Brawo, Andreo! Wykrzycz mu to! Niech wie, że nie musi się o ciebie bać.

Wpół do piątej przyjaciółki poczuły się tak zmęczone, że postanowiły się zdrzemnąć. Ułożyły się na białej sofie w salonie i zasnęły natychmiast. Maria przejęła ich obowiązki.

Kilka godzin później Andreę obudziły jakieś trzaski w radiostacji. Pułkownik Jamison był już przy słuchawce.

Za chwilę usłyszeli głos Blake'a: - Mamy ich. Les. Zaczęliśmy już schodzić w dół. Jeden z chłopaków złamał nogę, inni pokaleczyli się bryłami lodu. Przyślij karetkę. Niech czeka na nas u podnóża góry od wschodniej strony.

- Dobra robota, Everett. Przygotujemy wszystko. Andrea rozplakała się z radości i ulgi.

Mężczyźni pakowali wyposażenie ratownicze na samochody. Zanim odjechali, pułkownik podszedł do Giny i Andrei.

- Należą wam się serdeczne podziękowania za wszystko. Jesteście wspaniale!

Po odjeździe ekipy ratunkowej Gina przeciągnęła się i powiedziała: - Pora już na mnie, dzieciaki czekają na wieści o wujku. Zostaniesz tu jeszcze, Andreo?

- Tak, poczekam na Blake'a.

RS

## ROZDZIAŁ 15

Andrea stała przed oszklonymi drzwiami, patrząc na zamglone niebo. Powoli wstawał dzień. Zapowiadał się słoneczny, gdyż pierwsze promienie słońca przedarły się już przez mgłę.

Odwróciła się, słysząc jakiś szmer. W drzwiach do salonu stał wyczerpany, brudny Blake.

Rzuciła mu się na szyję. - Jak dobrze, że jesteś! - szepnęła.

- Zawsze będę na ciebie czekała, na każdy twój powrót z wyprawy w góry.

- Dziękuję ci za to, że tu jesteś, Andreo - szepnął równie wzruszony, jak ona.

Zaprowadziła go na górę do sypialni, rozebrała i położyła do łóżka. Był tak zmęczony, że nie protestował. Zniknęła na chwilę w łazience, żeby wrócić z miską pełną wody, mydłem i myjką. Umyła starannie całe jego ciało, a potem wytarła do sucha włochatym ręcznikiem.

Zanim zasnął, ujął jej dłoń i ucałował. - Dziękuję, kochanie...

Długo czuwała nad jego snem. Kiedy uznała, że już dostatecznie odpoczął, rozebrała się i wśliznęła się do niego do łóżka. Natychmiast zareagował na jej obecność. Kochali się bez wychnienia i ciągle nie mieli siebie dość.

- Jesteś cudowna, Andreo - szeptał Blake z ustami przy jej uchu. - Nigdy nie myślałem, że aż tak się zakocham.

W oczach Andrei pojawiły się łzy szczęścia.

- I co ja mam z tobą zrobić? Po śmierci Franka poprzysiągłem sobie, że nie zwiążę się z żadną kobietą, żeby nie musiała cierpieć tak, jak

Gina. Ale z tobą wszystko jest inaczej. Cholernie mnie wzięło. Kiedy cię nie widziałem, było mi smutno i źle.

- Ja też cię kocham, Blake - szepnęła Andrea, przytuliła się do niego i oboje zasnęli znowu.

Była pełnia lata. Andrea stała na balkonie starego hotelu, zapatrzona w góry zamykające horyzont. Chciało jej się śmiać i płakać z radości. Zakręciła się w szaleńczym piruecie. Biała tiulowa spódnica zawirowała wokół niej jak śnieżny obłok, a białe orchidee wypadły z jej włosów.

- Zgubiłaś swoje kwiatki, moja śliczna żono? - roześmiał się Blake, wziął ją na ręce i zakręcił wkoło. Powoli opuścił ją na podłogę balkonu i pochylił się nad zarumienioną twarzyczką. - To nasz drugi małżeński pocałunek - szepnęła Andrea, wspinając się na palce.

Dzisiejszego ranka zajechali czerwonym avanti przed biały dom w Carson City. Widniał na nim napis „Sędzia pokoju”. Nikogo nie zaprosili na swój ślub. Świadkami byli żona sędziego i przypadkowo spotkany listonosz. - Przyniosę wam na pewno szczęście - obiecał, zadowolony ze swej funkcji.

Andrea spojrzała na swojego świeżo upieczonego małżonka. - Blake, jestem taka szczęśliwa, że pobraliśmy się właśnie tutaj, gdzie się wszystko zaczęło.

Wrócili do pokoju. - Mam dla ciebie prezent, kochanie - zaczęła wesoło. Podbiegła do walizki i wyjęła z niej grubą kopertę. Nieśmiało podała ją mężowi.

Otworzył z zaciekawiony. Przebiegł wzrokiem kolejne strony.

- Skończyłaś ją! - wykrzyknął uradowany. - Ale jak znalazłaś na to czas? Ostatnie dni były przecież takie nerwowe!

- Od kiedy wiedziałam, że nasza sprawa zakończy się happy endem, pisanie książki szło mi jak z płatka.

- Teraz moja kolej na prezent. Wiem, że jesteś przywiązana do tradycji, i dlatego postanowiłem ci podarować coś starego, a zarazem nowego.

Andrea rozwiązała białą wstążkę i rozwinęła srebrne opakowanie. W środku było aksamitne pudełeczko. Niecierpliwie podniosła wieczko.

Jej oczom ukazało się małe serduszko na łańcuszku. Wyszadzone było maleńkimi diamentami i szmaragdami.

- Ale śliczne! - krzyknęła z zachwytem.

- To jest ta nowa rzecz. A teraz je otwórz.

W środku medalionu tkwił miniaturowy portrecik babki Andrei. - Och, Blake, jesteś cudowny! Ona by cię na pewno polubiła jak własnego wnuka.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju weszła rozpromieniona pani Evans. Trzymała w rękach tacę z szampanem i dwoma kieliszkami.

Blake podziękował jej serdecznie w imieniu obojga.

- Zadbam o to, aby nikt wam nie przeszkadzał - pani Evans uśmiechnęła się znacząco i wycofała się.

Blake i Andrea wybuchnęli głośnym śmiechem.

RS